

Dziś w numerze: **• Czy król Władysław zginął pod Warną? • Komu samochód?**
• Dom • Wspomnienia weteranów rewolucji • Łut historii, szczypta polityki
• Noc bez gwiazd • Wiersze • Felietony • Recenzje

odgłosy



14 (544)
7. IV. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



O. APENCZENKO

W. PIESKOW

SYN ZIEMI

Jurij Gagarin, pierwszy kosmonauta świata, nie żyje. Urodził się w Związku Radzieckim i rozstawił swoją ojczyznę, kiedy lecąc ku gwiazdom w pudle kosmicznego statku ustanawiał nową epokę, epokę opanowywania wszechświata przez człowieka. Urodził się w Związku Radzieckim, ale należał do nas wszystkich, był bowiem synem Ziemi. Jego przedwczesna śmierć okrywa nas tym głębszą żalobą.

Publikowany tutaj reportaż, którego autorami są dwaj dziennikarze „Komsomolskiej Prawdy” został napisany 12 kwietnia 1961 roku. Jest to dzień historycznego lotu Jurija Gagarina. Reporterski zapis, który opowiada o najbliższych bohaterstwach kosmonauty, ma dziś wagę dokumentu.

J. D.

Godzina 10.01... Cały świat słucha radia, słucha Moskwy. Cały świat powstrzymuje oddech. Człowiek w kosmosie! Wiadomo tylko, że to Rosjanin, człowiek radziecki. Nasz samochód, szaleńczo nabierając prędkości, wyjeżdża z Moskwy.

Dalszy ciąg na str. 4

WACŁAW BILIŃSKI

Przypadek — Stanisław Wygodzki

Neue Zürcher Zeitung, poważny organ międzynarodowej finansjery, gazeta o dużych wpływach, opublikowała 28 lutego br. artykuł godny naszej uwagi. Zaczyna się on od słów:

„Wybitny polski komunistyczny pisarz Stanisław Wygodzki zerwał wszelkie stosunki z reżimem Gomulki i w proteście przeciw antysemityzmowi kierownictwa Partii wyemigrował do Izraela”.

Zwróćmy uwagę na datę tej publikacji: 28 lutego. A więc przed dramatycznymi wypadkami warszawskimi.

1

Stanisław Wygodzki jako pisarz — znany jest dobrze polskiemu czytelnikowi: jego twórczość, monotematycznie poświęcona martyrologii żydowskiej w okresie okupacji zawarta jest w licznych, wielonakładowych tomach powieści i opowiadań.

Dziesiątki z nich doczekały się radiofonizacji, przedruków, wznowień, czyniąc z pisarza jedno z popularniejszych piór w naszym kraju. Bibliografia Wygodzkiego w Słowniku Współczesnych Pisarzy Polskich zajmuje bite cztery strony. Z niej też dowiadujemy się, że pisarz był współpracownikiem wydawanej w Moskwie w latach trzydziestych „Kultury Mas”, że był członkiem Polskiej Sekcji Międzynarodowego

Biura Literatury Rewolucyjnej w Moskwie i współpracownikiem czasopisma „Literatura Mirowej Rewolucji”.

W okresie panowania, tzw. socrealizmu Wygodzki był pracownikiem Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz kierownikiem Działu Literackiego Polskiego Radia. Został odznaczony wielo orderami — aż po „Sztandar Pracy II klasy”, który przyjmował z rąk Jakuba Bermana. W warszawskich kawiarniach literackich mówiło się, że taka pozycja — ilu pisarzy posiadała ją w Polsce? — zawdzięczał St. Wygodzki raczej swej politycznej aktywności niż randze artystycznej. Sytuacja materialna St. Wygodzkiego była równo wyjątkowa: ostatnio dowiedzieliśmy się na marginesie dyskusji zjazdowej SDP, że tylko Radio przynosiło mu honoraria i tantiemy w wysokości 18.000 zł miesięcznie. Była więc Polska dla Stanisława Wygodzkiego nie macochą, lecz matką: szczerobliwą, hojną matką.

2

Polska Ludowa jest taką właśnie matką dla kilkudziesięcioletniej rzeszy swych obywateli pochodzenia żydowskiego, którzy ocalili od hitlerowskiej zagłady. Talenty, kwalifikacje, aspiracje Żydów polskich znajdowały od pierwszych dni wolności pełne możliwości realizacji. Co więcej: tam

gdzie te kwalifikacje były mierne, a nawet czasem i znikome — działała szczególna i jak się zdawało, humanitarna zasada: po cierpieniach okupacji wydawało się rzeczą normalną, iż Żydzi polscy otrzymywali prace co inatratniejsze, co bardziej eksponowane stanowiska. Socjologowie mogli się zainteresować konsekwencjami takiej polityki personalnej, politycy mieli obowiązek to uczynić: bo oto środowisko uprzednio klasowe, materialnie i intelektualnie zróżnicowane, już u progu lat pięćdziesiątych zmieniło swoją socjalną strukturę. Zatraciło przede wszystkim wszelką bez mała więź z klasą robotniczą i chłopstwem pracującym, stało się środowiskiem coraz mocniej wewnętrznie powiązanym konsekwencjami sprawowania władzy. Przeszło — niemal bez wyjątków — na pozycję „elitę rządzącą”.

Po roku 1948, w warunkach nagonki rozpetanej wokół tzw. Nacjonalistycznego Odchylenia Gomulki, nastąpiła dalsza hermetyzacja tych procesów i znaczną część niewieloletniej, przecież rzeszy obywateli polskich pochodzenia żydowskiego ugrunтовала swe uprzywilejowane pozycje, majoryzując całe resorty: tak było np. z Ministerstwem Handlu Zagranicznego, tak

Dalszy ciąg na str. 3

Przypadek — Stanisław Wygodzki

Dalszy ciąg ze str. 1

było z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Tak było z wieloma agendami Ministerstwa Kultury i Sztuki. Tak było z kierownictwem osławionego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Proces formowania tej szczególnej elity władzy dokonywał się w wiadomych warunkach: był to okres zwany dziś eufemistycznie „czasem błędów i wypaczeń”. W dziedzinie kultury — o czym też wspomina się dziś niechętnie — zaistniało wówczas faktyczne zagrożenie polskich tradycji, poczynając od architektury, kończąc na teatrze i literaturze. Koncepcje Jakuba Bermana — socrealizm — stanowiły dogmat nie podlegający krytyce, a ludzi nie poddających się terrorowi intelektualnemu niszczonego bezlitośnie bądź wyrzucano za burtę, zmuszono do milczenia.

3

W przekonaniu piszącego te słowa, „okres błędów i wypaczeń”, ciąży na świadomości części polskich Żydów: zamknął on przede wszystkim — jak już wspominałem — w wypadku ludzi o pochodzeniu proletariackim — proces oderwania się od własnej klasy, nie było już Żydów wśród robotników. Rodziło się też wówczas właśnie zapewne owe poczucie winy czy zagrożenia płynące z obawy przed jakąś współodpowiedzialnością za nadużycia, a nawet zbrodnie tych, którzy jak Berman, Świątło, Fejgin, Różański — że wylizymy najbardziej osławionych — zastąpili jako inspiratorzy prowokacji i jako oprawcy.

W tej części społeczności żydowskiej, tak bardzo solidarnej i cierplivej na różnorakie kompleksy — powstawała jak się zdaje koncepcja nie mająca nic wspólnego z nową socjalistyczną strukturą naszego społeczeństwa: koncepcja wspólnego ponadklasowego losu. Stąd i pamiętane zabiegi tuszujące rolę wymienionych czołowych przedstawicieli aparatu berliowszczyzny. Przemilczenia nie prowadziły jednak do niczego, zaczęły się mnożyć wypadki politycznych dezercji, (np. casus Świątło). Po roku 1956 cała fala ludzi skompromitowanych wyjechała do Izraela, i ci gorliwi jeszcze wczoraj komuniści, nagle objawili się światu jako polityczni renegaci. Stąd i popularny w Izraelu dowcip: „Co robi twój najstarszy syn? On robi w Polsce komunizm. A co robi twój średni syn? On chce zrobić komunizm w Belgii. A twój najmłodszy syn? On jest w Izraelu. I też robi tam komunizm? To ty myślisz, że ja bym mu na to pozwolił?” Rzecz znamienna, oni, ci wczorajsi nadgorliwcy, właśnie najenergiczniej podjęli frontalny atak na Polskę — jako na kraj zoologicznego antysemityzmu.

Wreszcie wspomnijmy o jeszcze jednym społecznym procesie, zapoczątkowanym po roku 1956: naturalna selekcja kadr pod względem kwalifikacji sprawiła, iż zagrożeni poczuli się ci, których sprawność zawodowa nie odpowiadała wymogom chwili. Samokrytycyzm nie jest niestety, zjawiskiem czystym: stąd i w sferze tych już zupełnie naturalnych zjawisk społecznych raz po raz podnosiły się okrzyki o antysemityzmie.

Jest istotnie rzeczą znamionną, iż właśnie rok 1956 stał się punktem zwrotnym w międzynarodowej i nasilającej się kampanii antypolskiej. Polski antysemityzm — to hasło oczywiście dostrzegli natychmiast i politycy bońscy: jeśli takie hasło rzucali Żydzi, Bonn zyskiwało niespodziewanie najlepsze, w sensie politycznym, sojusznika. Należy wyrazić ubolewanie, że na przestrzeni całych lat polscy intelektualści pochodzenia żydowskiego nie wypowiedzieli się na ten temat. Możemy domyślać się przesłanek, decydujących o tej brzemiennej w skutki bierności: teoria, iż należy przemilczeć, że w pewnych sprawach milczenie jest złotem, że nie należy informować — ta teoria, rządząca i w innych dziedzinach, w odniesieniu do tego problemu stosowana była z żelazną konsekwencją. Obrodziła nam obficie, co robić z tymi owocami?

4

Wróćmy do sprawy Stanisława Wygodzkiego. Nie jestem wielbicielem metody zaglądania do życiorysów, ale w wypadku Wygodzkiego, życiorys ten napawa respekt: stary komunist, więzień polityczny, międzynarodowy działacz literatury komunistycznej — w czasach socrealizmu administrator polskiej kultury.

Zanotujmy, że w tym okresie, mimo swych międzynarodowych kontaktów, Stanisław Wygodzki nigdy nie protestował: widać nie wzbudziły w nim konflikty sumienia ani czy stki stalinowskie, ani okres berliowszczyzny, ani pomiatanie kultura polska w okresie socrealizmu. Sumienie St. Wygodzkiego w tym czasie pozwalało czerpać pisarzowi zadowolenie i korzyści ze sprawowanych funkcji i z własnej, popieranej przecież do ostatka twórczości.

Kiedy więc zaczął się kryzys?

Zacytujmy za „Zürcher Zeitung”: „W końcu lat pięćdziesiątych doszło do pierwszej różnicy zdań z Partią. W roku 1958 Wygodzki domagał się na Zjeździe Pisarzy zniesienia cenzury i skutecznego zwalczania antysemityzmu”. Tyle gazeta szwajcarska. Dzięki jej publikacji znamy więc dokładny termin, znaczący początek konfliktu St. Wygodzkiego z Partią. Przedtem St. Wygodzki przyjmował order, porządek istniejący akceptował, nie widział powodów do niepokojów. Nie dzwonek: St. Wygodzki, należał przecież do elity, która w okresie trzebienia tzw. nacjonalistycznego odchylenia Gomułki przed rokiem 1956 decydowała o polskiej kulturze. Z wiadomymi skutkami.

5

„Zürcher Zeitung” podaje jeszcze i dalsze informacje o wywiadzie udzielonym przez St. Wygodzkiego. Znow cytujemy:

„Wygodzki napisał powieść przez dziesięć lat był więziony bez procesu przez własną Partię. Książka się nie ukazała, Partia założyła veto”.

Istotnie, St. Wygodzki napisał taką powieść — pt. „Zatrzymano do wyjaśnienia” — i cenzura ją skonfiskowała. Jej maszynopis był zresztą przez dłuższy czas dostępny dla pisarzy w Warszawskim Oddziale ZLP. Ale w wywiadzie dla szwajcarskiej gazety St. Wygodzki wspominał o pewnych szczegółach tej sprawy: Oto w swej powieści Wygodzki zignorował prawdę historyczną — z przyczyn, których możemy się domyślać. A prawda ta wylała tak, iż cały resort Bezpieczeństwa Publicznego, który organizował prowokacje antypartyjne — właśnie takie „Zatrzymania do wyjaśnienia” — kierowany był przez ludzi pochodzenia żydowskiego — Bermana, Fejgina, Różańskiego, Romkowskiego...

To nie szczegół bez znaczenia, to element decydujący o wymowie książki. St. Wygodzki przemilczał go i w swej książce stał się historię tych antypartyjnych prowokacji.

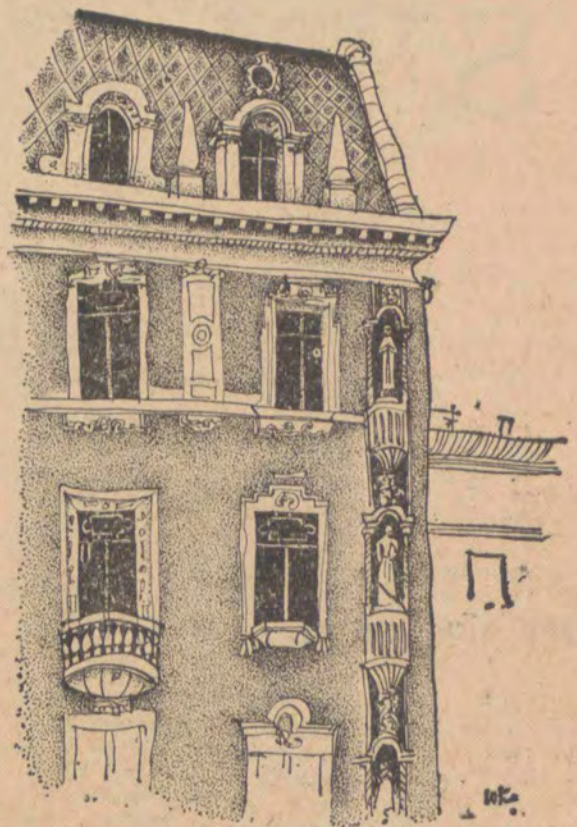
6

Zwrócić uwagę na datę publikacji w „Zürcher Zeitung”: 28 lutego. A więc przed

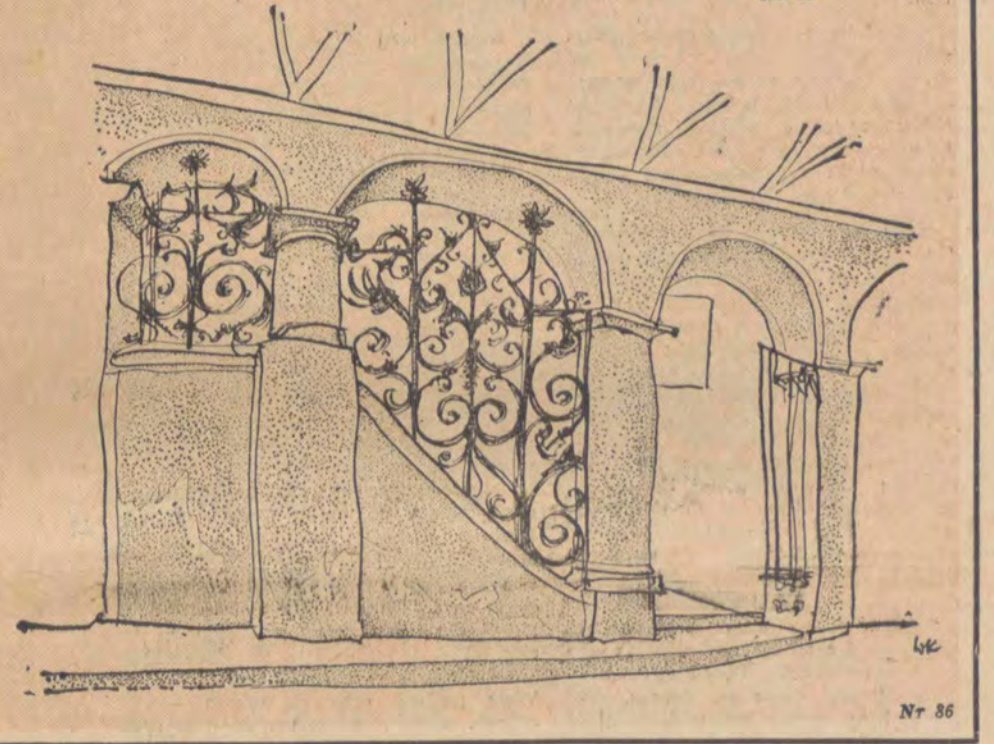
Ulica Piotrkowska

Z teki

Wacława Kondka



Nr 56



Nr 86

wypadkami warszawskimi. Hasła, jakie w wywiadzie rzuca Wygodzki pokrywają się z tymi, jakimi szermują grupy tzw. zbuntowanych intelektualistów, tak ściśle, iż wydaje się, że te hasła, tak zresztą pięknie brzmiące — uzgadniane były w tych samych kręgach i nie od dziś. Ale w jednym wypadku St. Wygodzki idzie dalej niż jego warszawscy towarzysze broni. Na zakończenie wywiadu stwierdza (cytujmy) iż pozostanie w Izraelu, póki polska Partia nie zmieni swego proarabskiego kursu.

Więc to jest warunek sine qua non? Więc o to chodzi? Nie o problemy kultury, nie o zagadnienia pisarstwa, wolności słowa, cenzury? St. Wygodzki wygadał się: chodzi mu o zmianę naszej polityki zagranicznej. Czytamy te wypowiedzi. Napływają gorzkie refleksje. Ogarnia nas smutek: uważaliśmy St. Wygodzkiego za komunistę, za internacjonalistę, za polskiego pisarza. Górę wzięła służba innym ideom.

WACŁAW BILIŃSKI

Nożycami przez PRASĘ

NA MARGINESIE WYDARZEŃ

Zespół redakcyjny „Kultury” ogłosił wypowiedź, z której przytaczamy dwa istotne fragmenty:

„Nie da się ukryć faktu, że przed kilkoma dniami wśród młodzieży akademickiej zrodziła się demonstracja palona gazetę, zawierającą pierwszy komentarz na temat łocznych się wypadków. Dla publicysty czy dziennikarza jest to moment przykry i zmuszający do zastanowienia nie tylko nad tym, co się aktualnie wydarzyło, ale i nad tym, co działo się wcześniej...”

„W gazetach naszych trwa la latami dyskusja o młodym pokoleniu, o jego postawach obyczajowych i jego moralności. Nie brakuje tu i przesady i egzaltacji. Ale brakowało uświadomienia sobie, że nasza młodzież bynajmniej

nie jest indyferentna ideowo, ale przeciwnie na naszych oczach wyrosło pokolenie wykształcone, o otwartych głowach, które coraz częściej stawia pytania i coraz natężniej domaga się odpowiedzi...”

Na łamach prasy spotykaliśmy się dość często z wyrazami niezadowolenia z powodu pominięcia, niedokładności i braku różnych haseł w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej. Spotykaliśmy się także z oburzeniem („Życie Literackie”, „Życie Warszawy”). Oburzenie to dotyczyło sposobów ujęcia martyrologii polskiej podczas okupacji, walki z Niemcami hitlerowskimi. Tym razem „Prawo i Życie” — artykuł Tadeusza Kura pt. „Encyklopedyści” — szeroko i zasadniczo ocenia treść hasła „Obozy koncentracyjne hitlerowskie”, zamieszczonego w VIII tomie. Autor przypomina stwier-

dzenie, że hitlerowskie „obozy zagłady istniały tylko na ziemiach okupowanej Polski” i że wśród 5,7 mln ich ofiar było — ok. 99 proc. Żydów, ok. 1 proc. Cyganów i innych”. Ci „inni” to zapewne... Polacy?

Autorzy haseł uciekli się do zaprzeczającego prawdziwości podziału na „obozy zagłady” i „obozy koncentracyjne”, aczkolwiek wszystkie obozy hitlerowskie były obozami zagłady, czego nie trzeba (przynajmniej w naszym kraju) udowadniać.

Jednocześnie T. Kur przytacza niezliczone dowody na to, że w WEP nie znalazła należytego uwzględnienia walka zbrojna z okupantem we wszystkich jej formach. Do zespołu zatwierdzającego do druku hasła z zakresu historii najnowszej, należeli: Stefan Staszewski, Jerzy Baumritter, Tadeusz Zabłudowski, Lucyna Majzner, Maria Ganzowa. Jak odrobić te „błędy” w WEP?

MILCZENIE DLA OŚMIUSET TYSIĘCY

W tym samym numerze dwutygodnika „Erzy Gren” są już się naszym dorobkiem filmowym, związanym z udokumentowaniem walki i mę-

czeństwa narodu polskiego. Powiedzmy od razu: dorobkiem stosunkowo skromnym, mimo iż da się wymienić kilka celnych pozycji dokumentalnych.

Konkretnie publicysta wspomina się o filmowe zobowiązanie walki i śmierci 800 tysięcy warszawiaków w latach 1939—1945.

Jak dotąd, panuje „milczenie dla ośmiuset tysięcy”. Nie powstał w WFD żaden pełnometrażowy, czy średniometrażowy film dokumentalny przedstawiający jakiś ogólny temat, jakiś ogólny zbrodni hitlerowskich po pełnionych na ziemi polskiej i Polakach. Co prawda dawano tam twórcom zainteresowanym tą tematyką szczerze nadzwyczaj ilości taśmy filmowej do kamer, ale jeśli już, to czyniono to jedynie dla zadokumentowania zbrodni jednostkowych, indywidualnych, poszczególnych postaci, co w zestawieniu z całym przytoczonym tu materiałem budzi niepokojące skojarzenia.

Jeśli chodzi o faszyzm, od siebie możemy dodać, że od dłuższego czasu idziemy po linii przygodowo-fantastycznej. Spłyca się i splaszca sprawy przeszłości, która, wbrew mniemaniu, jak ostatnie lata wskazują, wcale „nie mówi sama za siebie”. Przygody ka-

pitana Klossa, różne warianty „Kobry” — owszem, prozę bardzo, ale to przecież utwory, przedstawiające wyobraźnię, zwłaszcza młodszego widza, w zupełnie niewłaściwym kierunku. Jeśli na nich tylko poprzestawać...

ADM

Lekceważenie dokumentacji w najmniejszych jej odmianach, dotyczącej różnych dziedzin przeszłości, staje się czymś nader częstym. Odnosi się to zwłaszcza do źródeł audiowizualnych — do fotografii, filmów, nagrań dźwiękowych. (Kiedyś zniszczono nagrania recytacji Tuwimowskiej.)

Archiwistyka dokumentów tzw. mechanicznych stanowi po moc bezcenną dla naukowców, dziennikarzy telewizyjno-radiowych, dla filmowców. Dopiero w 1955 roku powstało Archiwum Dokumentacji Mechanicznej w Warszawie przy Świętojerskiej 24.

W międzyczasie dokumentacja np. fotograficzna ocalała zaledwie 15 proc. zasobów, istniejących jeszcze w 1950 roku!

Wśród dokumentów w ADM znajdują się przemówienie Zeromskiego, dramatyczna mowa min. Becka z maja 1939 roku, apele prezydenta Starzyńskiego.

I oto, jak pisze Jerzy Łojek

na łamach „Kultury”, żywot archiwum jest zagrożony.

Ktoś doszedł do przerażającego wniosku, że „dokumentacja mechaniczna” może być traktowana jako uboczna, trzeciorzędna sfera działalności rozmaitych porzucanych archiwów i zbiorów, że — horribile dictu et auditu — nasze służby archiwalne nie stać na utrzymywanie osobnej placówki, poświęconej udostępnianiu źródeł tego rodzaju! — Ze też trzeba bronić istnienia takiej placówki!

„TWÓRCZOŚĆ” O „ODGŁOSACH”

W ostatnim (marchowym) numerze miesięcznika „Twórczość” znajduje się pochwała artykułu Jerzego Tyneckiego o Mięlnskim, który ukazał się w jednym z numerów „Odgłosów”. Przy sposobności autor no talki tak pisze o naszym tygodniku:

„Ze wszystkich naszych tygodników społeczno-kulturalnych najprzyjemniej czyta się łódzkie „Odgłosy”. Redakcja tego pisma, zwiawszy się mocno z terenem, urealniła je. Artykuły są w nim sensowne, konkretne i dają dużo rzeczowego materiału...”

JAN OLECHNO

SYN ZIEMI

Dalszy ciąg ze str. 1

Zwykła ulica, zwykły dom, zwykłe schody, które prowadzą na czwarte piętro. Naciśkamy dzwonek. Drzwi otwiera nieczym nie wyróżniająca się kobieta.

— Mieszkanie państwa Gagarinów?

Czytelnicy zrozumieją chyba wzruszenie, jakiego doświadczyliśmy po drodze do tego domu. Tutaj mieszka on... Dwa pokoje, kuchnia. Kwieciste tapety, firanki, regały z książkami, okrągły stół. Telewizor, radio. Radia i telewizora nie wyciąga się w tym mieszkaniu.

Cały świat słucha teraz Gagarina. Cały świat przyznaje się do niego. Jest synem Ziemi, Ziemia słucha jego głosu i czeka na niego. A w tym pokoju jest jego żona i dwoje dzieci: Lena i Gala. Żona ma na imię Wala. Składamy gratulacje. Jest zmieszana, cieszy się i jednocześnie niepokoi. Ta kobieta owdziedziła dziesiątki złożonych uczuć i wszystkie odbijają się na jej twarzy. On jest w kosmosie! On mówi, że wszystko dobrze... Ona drżącą ręką zapisuje w uczniowskim notesiku godziny, minuty. Czekaj, nie może mówić. W pokoju pełno sąsiadów, tak samo słuchają.

— Tato... — mówi mała Lena odejmując od ust jabłko.

— Lot trwa! Pilot-kosmonauta Jurij Gagarin czuje się dobrze. — Żona kręci gałką odbiornika, dłonią ociera łzy i uśmiecha się...

Na okrągłym stole leżą trzy albumy z fotografiami. Oto on, chłopczyk w krótkich spodenkach, ile sił biegnie w kierunku rzeki. Zdjęcie zostało zrobione na Smoleńszczyźnie, w rodzinnej wiosce. A tutaj on wśród szkolnych kolegów, weaty chłopak z jasnymi włosami na głowie. Fotografia matki i ojca. Tutaj on obok nauczycielki. Tu zaś stoi zmieszany, widocznie po raz pierwszy złożył krawat, kołchozowy chłopiec. Naszywki szkoły rzemieślniczej i nieco doślejże oczy.

Jeszcze jedna strona w albumie. Duże zdjęcie grupowe. Na fotografii napis: „Saratowskie technikum przemysłowe. Absolwenci 1955 r...”. Wśród setki młodych twarzy znajdujemy znajomy podpis: „Gagarin Jurij”. Na tej samej stronie jeszcze jedna fotografia: Jurij na skrzydle samolotu. Macha do kogoś ręką, chce powiedzieć coś bardzo wesołego.

Technikum i kursy w aeroklubie kończył jednocześnie. Chciał zostać lotnikiem, ten uparty chłopak z młoteczkami na naszywkach kurtki... A tu już ptaszki na pagonach.

— Lot trwa — mówi uroczystie spiker.

Wala bierze notes i znowu zapisuje godziny i minuty. Dobry drogi zaprowadziły go w kosmos. Oto stoi wyciągnięty, twarz mu wydołała i zeszczupiała. Po między kartki albumu wetknięto dyplomy: „Za wzorową służbę”, „Za celujące postępy”, „Za zwycięstwo w mistrzostwach koszykówki”. Oto on na boisku sportowym. Tutaj znów przyjaciele podsadzają go na samolot. Jeszcze jeden dyplom — „Za wyróżnienie się...”. To od Komitetu Centralnego Komsomotu. Wzruszająca kartka, po przyjacielsku zarzysowana kolorowymi ołówkami towarzyszy: „Załoga pododdziału gratuluje kursantowi Jurijowi Gagarinowi pierwszego lotu na samolocie odrzutowym”.

Jeszcze jedna karta i po raz pierwszy spotykamy się z Walą. Jest

w białym fartuchu pielęgniarki. Obok kolejna fotografia — Wala w eleganckiej sukience. Widać, że fotografia została zrobiona specjalnie dla Jurija. Z upoważnienia Wali przepisujemy do notesów dedykację z fotografii: „Jura, pamiętaj, że sam jestem kowalami swego szczęścia. Przed lasem nie opuszczaj głowy. Pamiętaj, że czekanie jest wielką sztuką. Przechowaj to uczucie do najszcześniejszej chwili. 9 marca 1957 roku. Wala”.

A tutaj napis: „Mojej Wali, drogą, najukochańszej... Niech fotografia pomoże Ci strzec naszej wiecznej, niezwykłej miłości. 16. 03. — 58. Jurij”.

Dalej jest dwoje ludzi — Waleriyna i Jurij — idą obok siebie. W lesie zrywają kwiaty, opalają się na plaży, są w gościnie u przyjaciół. Wesołe takie, jakim ono powinno być. Ojciec, Aleksiej Iwanowicz Gagarin, stoi obok syna. Matka, Anna Timofiejewna, czule patrzy na młodych...

W rodzinie pojawia się jeszcze jeden człowiek. Ten człowiek ma na imię Alonka. Tworzy nie widać pod białymi okryciami, ale ile szczęścia maluje się na twarzach matki i ojca. Dwie pary rąk wspólnie popychają wózek z drogim pasażerem... Pierwsze kroki Lenki.

— Lot przebiega pomyślnie...

Wala bierze Lenkę na ręce, wyciąga ze skrzynki lalkę. Te lalkę zostawił dla Lenki przed odjazdem ojciec.

— Czuje się dobrze... Dobrze — Wala podnosi rękę ku oczom — dobrze, Lenka, rozumiesz?

Ale nie o wszystkim mogą opowiedzieć fotografie. Zanim nastąpił start, długo i wytrwale trzeba się było przygotowywać. Szykował się Jurij, do domu wrócił zmęczony. Wala nie wszystko wiedziała o jego służbie. Ale nie pytała. Uśmiechnie się tylko i powie: „To ważna służba”.

Gagarin ma dwadzieścia siedem lat. Żył wśród nas. Siedział obok nas w kinie, w niedzielę popychał przed sobą wózek w parku (bo w rodzinie pojawiła się jeszcze jedna „pasażerka”). Chodził w gości, grał w koszykówkę i w bilard i nikt nie wiedział, jaką on ma służbę. Był człowiekiem, który żyje przygotowaniami...

A teraz przebywa w kosmosie! — W tej chwili ogląda gwiazdy — mówi lotnik i sąsiad w jednej osobie, który wraz z dziećmi siedzi przed telewizorem.

Lenka zabiera się za drugie jabłko, Wala bierze na ręce mała Galkę, która nagle nie wiadomo dlaczego rozplakała się.

— Radziecki statek „Wostok” pomyślnie wyładował w wyznaczonym rejonie... — I spiker podaje jeszcze kilka słów, drogi dla tych, którzy siedzą przy radiach i telewizorach: „Proszę zameldować partii i rządowi, że lądowanie przebiegało normalnie. Czuje się dobrze. Obrażen ani kontuzji nie doznał”.

— Żyje! Mój najdroższy! — Łzy spływają po policzkach kobiety, całuje dziewczynkę. Sąsiedzi także ją całują i składają gratulacje. Robimy ostatnie zdjęcia. Doczekawszy się swej kolejki potrząsamy rękę uszczęśliwionej kobiety.

Gagarin... Ileż razy będzie się teraz wymieniać na Ziemi to proste, rosyjskie nazwisko. Major Gagarin. A dla Wali jest on po prostu Jurijem. A dla Lenki jest po prostu tatą. A Ziemia nazwie go Synem i będzie z niego dumna po wszystkie czasy.

Przełożył: JERZY DARNAL



WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Taki był początek

Marzeniem i ambicją każdego uczonego, po wielu latach badań naukowych, jest dokonanie syntezy; twórczej, pozostawienie dzieła, które jest wynikiem poprzednio rozproszonych choć tematycznie bliskich ustawań odkrywczych. Właśnie taki charakter ma fundamentalna praca prof. dr Gryzeldy Missalowej, nosząca skromny tytuł „Studia nad powstaniem łódzkiego ośrodka przemysłowego 1815—1870”.

W końcu roku 1964 ukazał się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego tom I wymienionego dzieła, poświęconego genezie Łódzkiego Okręgu Włókienniczego, przebiegowi rewolucji technicznej na tym obszarze oraz przedśledzeniu procesu formowania się wielokapitałistycznego przemysłu włókienniczego. Niedawno znalazł się w księgarniach tom II obrażający powstawanie w Łódzkiem Okręgu Przemysłowym nowej klasy społecznej — proletariatu.

Książka omawia formowanie się rynku pracy w przemysle włókienniczym w skomplikowanych warunkach istniejącego jeszcze do 1864 roku feudalizmu. Cenne jest wskazanie przez autorkę przemian, w wyniku których czeladnicy i wyrobownicy stali się odrębną klasą społeczną — proletariatem wielkoprzemysłowym. Równie ważne jest odwołanie do procesu rekrutacji siły roboczej Łódzkiego Okręgu Przemysłowego z różnych grup i warstw społecznych jak i ustalenie terytorialnego pochodzenia robotników w ważniejszych miastach Okręgu (Łódź, Pabianice, Tomaszów, Zgierz, Zdunówka Wola).

Znajdujący się w przygotowaniu ostatni tom przedstawi źródła i charakter kapitałów zaangażowanych w przemysle włókienniczym okręgu łódzkiego oraz genezę i „karierę” właścicieli i dysponentów kapitału — burżuazji. Trzytomowa seria wydawnicza będzie wyczerpującą monografią Łódzkiego Okręgu Włókienniczego lat 1815—1870.

Wydany obecnie tom II przedstawia trzy węzłowe momenty w procesie kształtowania się nowoczesnego proletariatu: a) skład i strukturę

robotników najemnych w latach 1815—1870; b) ich położenie ekonomiczne; c) walki klasowe oraz stosunek do problemów narodowych i udział w ruchach narodowowyzwoleńczych.

Oprócz tekstu autorskiego książka zawiera indeksy osób i nazw geograficznych, jak również streszczenia w języku rosyjskim, angielskim i niemieckim. Każde z nich zajmuje 2 strony druku. Stanowczo za mało. Osiągnięcia badawcze autorki na pewno zainteresują historyków gospodarczych w różnych krajach. Wy starczyłyby streszczenia rosyjskie i alternatywnie niemieckie lub angielskie, ale znacznie obszerniejsze (8—10 stron). Oszczędności wydawniczej w tym wypadku poszły chyba zbyt daleko. Do pracy dołączono także 5 map (pod opaską) opracowanych przez A. Zebrowską i J. Smałowskiego.

Podobnie jak i tom poświęcony przemysłowi recenzowana praca jest oparta na ogromnym materiale źródłowym. Zanim autorka przystąpiła do pisania monografii przemysłu łódzkiego, opublikowała wraz z zespołem współpracowników „Źródła do historii klasy robotniczej okręgu łódzkiego” (1957). Książka ta stanowi materiałowy punkt wyjścia badań uzupełniany w latach następujących.

Odnosnie genezy proletariatu łódzkiego ważne jest wykazanie z jak różnych terenów napływali tkacze, przedzalnicy i farbiarze na teren Królestwa. Dotychczasowe nader nieprecyzyjne określenie — z Niemiec, należy obecnie w świetle badań Misalowej zastąpić terminem — w większości z krajów przyległych do Królestwa.

Robotnicy wykwalifikowani — majstrowie, tkacze, farbiarze ściągali z Czech, Saksonii, Śląska, zaboru austriackiego i Prus; w drobnych ilościach i kilkunastoosobowych grupkach z państw niemieckich — Wirtembergii, Badenii, Bawarii, a także i W. Księstwa Poznańskiego. Natomiast bazą dla rekrutacji robotników niewykwalifikowanych stanowiły okoliczne wsie, głównie województw kaliskiego i mazowieckiego, a po 1831 roku guberni warszawskiej.

Przybywszy spoza granic Królestwa w miastach przemysłowych stanowili grupę uprzywilejowaną ekonomicznie. Zapewne dlatego podkreślali i kulturowali swą odrębność narodową. Jak wynika z tabeli N 14 (s. 80) w 1857 roku Niemcy stanowili w Łodzi 41 proc. ogółu ludności stałej, w Aleksandrowie aż 56 proc., w Konstancynie 49 proc., w Zdunówce 34 proc. Narodowościowy skład miast fabrycznych zmienił się na korzyść elementu polskiego na skutek rewolucji technicznej, gdyż robotnikami fabrycznymi będą przeważnie

Polacy, natomiast Niemcy pozostaną grupą uprzywilejowaną ekonomicznie.

Ważne są rozdziały poświęcone położeniu robotników najemnych i czeladników w latach 1815—1870. Obowiązywała wówczas zasada całkowitego wolnego najmu siły roboczej. Pracodawcy w zależności od podaży i popytu na rynku pracy jednostronnie dyktowali wysokość zapłaty.

Dzień roboczy nie był ustawowo określony. Jedynie obowiązywał zakaz pracy „w niedzielę i święta prawnymi krajowymi oznaczonymi”. W stosunku do czeladników istniał polityczny przymus pracy. Majster (właściciel zakładu) mógł żądać od policyjnego sprowadzenia robotnika do pracy, lub pociągnięcia go do odpowiedzialności karnej za „bumelanctwo”.

Jako wyrobników określano wówczas ludzi przyjmujących pracę dozwoloną, płatną dziennie, lub podejmujących się wykonania określonej roboty. Wyrobnicy musieli posiadać polityczne zezwolenia na podejmowanie pracy w określonej miejscowości lub powiecie. Żadne prawa państwowe nie chroniły robotników przed samowolą pracodawców.

W miarę przekształcania się manufaktur w fabryki rosło zapotrzebowanie na pracę kobiet i dzieci. Przy tym, im zakład bardziej był zmechanizowany, tym więcej w stosunku procentowym do ogólnej liczby zatrudnionych posiadał kobiety oraz małe dzieci. Kobiety i dzieci stanowiły w dużych zakładach od 40 do 60 proc. załogi. W łódzkim przemysle włókienniczym robotnik miesięcznie zarabiał przeciętnie tygodniowo 2 ruble, kobieta około 1,5 rubla, a dziecko tylko 80 kopiejek.

Ciężkie warunki życia, wysysk ze strony pracodawców przy równoczesnym terrorze policyjnym wywoływały opór wyrażający się zarówno w formach legalnych (petycje i adresy), jak i w buntach czeladzi, bezlitośnie tłumionych przez władze administracyjne i municypalne.

Największym wystąpieniem robotników łódzkich w okresie formowania się proletariatu wielkoprzemysłowego jest „bunt” wyrobników i czeladzi 21 i 22 kwietnia 1861 roku. Kilkutysięczny tłum zniszczył wówczas krosna i urządzenia mechaniczne w fabryce Scheiblera, a następnie próbował zrobić to samo w fabryce Prussaka. Przerazone władze wezwały wojsko, które stłumiło ruchy.

Historycy oceniali wystąpienia 1861 roku bądź jako ruch ludystyczny (burzycieli maszyn), bądź jako rozgrywkę między wielką burżuazją, a właścicielami drobnych zakładów, zatrudniających po kilku lub kilkunastu robotników.

Prof. Missalowa przeprowadziła wnikliwą analizę ruchu, dochodząc do wniosku, że „był on wielonarodowy, a jednym z jego istotnych elementów była walka części proletariatu z burżuazją. Świadczy o tym fakt, że wśród przywódców byli sami czeladnicy i terminatorzy” (s. 150). Ich wystąpienie stanowiło protest przeciwko nasilającemu się wyzyskowi i uciskowi robotników właśnie w zakładach o charakterze wielokapitałistycznym.

Niektóre oceny autorki odnośnie udziału robotników łódzkiego okręgu przemysłowego w ruchach narodowowyzwoleńczych lat 1830/1831 i 1863/1864 mają charakter dyskusyjny, zwłaszcza jeśli chodzi o powstanie listopadowe.

Silne zaangażowanie się elementów plebejskich po stronie powstania widziimy w Piotrkowie, Łęczycy i Kutnie, a więc w miastach nieuprzemysłowionych. Natomiast tam, gdzie znalazło się stosunkowo dużo obcego elementu napływowego, wyraźne jest dążenie do nieangażowania się w wypadki. Postawa obokokrajowców udzielała się także polskiej ludności Łodzi, Zgierza, Pabianic i innych ośrodków włókienniczych.

Udział robotników okręgu łódzkiego w Strazy Bezpieczeństwa, moim zdaniem, wcale nie dowodzi poparciem dla powstania listopadowego, gdyż straż stanowiła w miastach czynnik kontrewolucyjny i była formą „dekowania się” przed poborem do wojska.

Cenne są zestawienia odnośnie udziału robotników i rzemieślników okręgu przemysłowego w powstaniu styczniowym. Dane liczbowe zebrane przez autorkę, dotyczą wyłącznie osób, które podlegały represjom ze strony władz.

Robotnicy i rzemieślnicy byli prawie wyłącznie szeregowymi walki narodowowyzwoleńczej 1864 roku, dlatego znaczna część zaangażowanych w ruch pozostała nieznaną dla władz, co w pracy nie zostało podkreślone.

Klasa robotnicza łódzkiego okręgu przemysłowego powstała głównie drogą imigracji mającej nader skomplikowany skład społeczny, wyznaniowy i narodowościowy. Wnikliwe przedśledzenie przez prof. Missalową zachodzących w latach 1815—1870 procesów społeczno-politycznych stanowi poważny wkład do naszej znajomości dziejów społeczno-gospodarczych największego na ziemiach polskich ośrodka włókienniczego.

W. G. Missalowa, Studia nad powstaniem łódzkiego okręgu przemysłowego 1815—1870, t. II — klasa robotnicza, Wydawnictwo Łódzkie 1967, ss. 224 + 5 map, cena 45 zł.

DOM

Długo budowałeś ten dom...

Najpierw budowałeś go w marzeniach. Na nie posiadanej jeszcze ziemi, w nieznanym ci miejscu wyznaczałeś plan twojego domu. Wykreśliłeś duży prostokąt, dbając, aby jego kąty były idealnie proste, a potem podzieliłeś go z rozważą na mniejsze prostokąty. Ten duży prostokąt to był twój dom, a te mniejsze stanowiły poszczególne w nim pomieszczenia. Zmieniałeś je czasem po długim namyśle, zmniejszałeś jedno, zwiększając drugie; nie o wiele, o stopę tylko czy najwyżej dwie, aby jak najlepiej wyważyć wzajemne proporcje tych małych prostokątów w dużym prostokącie.

I trwało to trochę, zanim nie wiedziałeś na pewno, że już nic nie należy zmieniać, że plan twojego domu musi taki pozostać, bo najlepiej oddaje twoje zamierzenia. Od tej pory plan twojego domu nosiłeś w sobie, czułeś w sobie jego prostokątny kształt i wie działał, że duży prostokąt dzieli się jeszcze na mniejsze, właśnie takie a nie inne, bo plan twojego domu był już tworem niezmiennym i ostatecznym. Taki musiał pozostać już na zawsze.

A potem zacząłeś widzieć twój dom, oparty na tym dobrze obmyślanym planie. Na nie posiadanej jeszcze ziemi, w nieznanym ci miejscu wypierał on powietrze swoją foremną bryłą, nie nazbyt wielką, ale dość okazałą, a przede wszystkim harmonijną w swych płaszczyznach i liniach, nachyleniach i załamaniach.

Ta bryła, która była przestrzennym kształtem twojego domu, też przecież uległa w tobie przekształceniom, drobnym, ale istotnym modyfikacjom, nim nie stała się formą skończoną, którą odtąd widziałeś zawsze przed sobą w najdrobniejszych szczegółach, kiedy tylko zamknąłeś oczy i myślałeś o swoim domu.

Widziałeś wszystkie jego cztery ściany z czerwonej cegły (a nie z szarosinich cementowych pustaków), z dużymi, wesołymi oknami, po dwa w ścianach dłuższych, frontowych, po jednym w ścianach szczytowych, które w trójkątnych zwieńczeniach miały jeszcze u góry po jednym okienku, ale już znacznie mniejszym, prawie się nie liczącym. Widziałeś także błyszczący w słońcu spadzisty dach z czerwonej dachówki z kominem pośrodku, i cementowe schodki u wejścia do twojego domu, widziałeś nawet nad drzwiami tabliczkę z nieokreślonym numerem i twoim własnym imieniem i nazwiskiem.

I choć dom twój istniał już w tobie, nie miałeś jeszcze nawet kawałka ziemi, na której mógłby stać twój dom rzeczywiście. Zbierałeś dopiero pieniądze na nią, składając grosz do grosza, często może kosztem twoich dzieci i spracowanej żony, którym skąpiłeś na wszystko, co niezbędne, sam określając zresztą granice tej niezbędności, które nie były nazbyt odległe od siebie.

Byłeś niewzruszony i nie decyerałeś do ciebie sarkania i prośby, lzy i żądania. Nie popuszczasz grosza, ale i sam nie trwonisz go po próżnicy. Rzuciłeś palenie i przez wiele lat nie sprawdziłeś własnym językiem smaku wódki a nawet piwa, choć sąsiedzi i koledzy, z którymi pracowałeś, pokpiwali sobie z ciebie, czasem dobrotliwie, ale częściej z dotkliwą złośliwością, bo nie mogło im się pomieścić w głowach, że chłop młody jeszcze i zdrowy, zachowuje się tak dziwnie i stroni od tych drobnych przyjemności, uznanych za męskie i niezbędne.

Przeżykałeś te wszystkie docinki, bo miałeś swój cel jedyny i dążyłeś do niego, nie oglądając się na nikogo i na nic. Zapamiętywałeś się w pracy, a pracowałeś ciężko i dużo, bo podejmowałeś się każdej roboty, nawet najcięższej, byle tylko dobrze zarobić. A że pracowałeś dobrze i nie miałeś dużych wymagań, wszyscy najmowali cię chętnie i mogłeś dokładać złotówkę za złotówką do zbieranych na dom pieniędzy, które przechowywałeś w drewnianym, mocnym i dobrze zamkniętym kuferku w twoim mieszkaniu w nie twoim domu.

A kiedy zebrałeś tych pieniędzy tyle, że mógłbyś prawie kupić za nie działkę ziemi, na której mógłby stać twój dom według obmyślanego przez ciebie planu, wybuchła wojna i przepadły ci one wszystkie bezpowrotnie. Przeżyłeś to bardzo, ale nie załamałeś się, bo wiedziałeś, że przecież kiedyś i tak musi stać ten dom o znany ci kształcie, który miałeś od dawna w sobie. Przeżyłeś więc okupację, myślał o tym domu, choć wtedy nie nie mogłeś dla niego zrobić.

Po wojnie zaczęło się wszystko od nowa. Zaciśnięte zęby i pracowałeś znowu bez wytchnienia na twój dom, który widziałeś teraz przed sobą lepiej i dokładniej. Po raz drugi zacząłeś odkładać każdy zarobiony grosz do tych, które już udało ci się odłożyć w kuferku, i liczyłeś je przy każdym dokładaniu, ciesząc się, że składana na twój dom suma rośnie, wprowadzie powoli, ale wyraźnie powiększa się, i, jak przed wojną, skąpiłeś pieniądze twojej żonie, już starszej i bardziej zmęczonej ustawiczną, zapobiegliwą krzątaniem, i dzieciom, dorastającym i stale więcej potrzebującym. Opierałeś się ich potrzebom z zaciekłością, bo jak największej chciałeś przyszczędzić na twój dom, który miał być również i ich domem.

Mimo to upłynęło wiele długich lat, zanim mogłeś kupić ziemię i na niej, na włas-

Robert Gluth

więc wypadnie powrócić do Fiume
gdzie stoki bez cienia — figowe
czas błękitny
zielone morze
nasze drogi: od kurzu czerwone

więc wypadnie powrócić do Fiume?
może dalej
na miarę marzeń
— wszędzie stoją zapomniane miraży
wszędzie woda
woda o skały
woda o skały

więc wypadnie powrócić na koniec
do tych własnych zdradzonych historii
kiedy wszystko już
zważone rozproszone

jeno droga do Fantasmagorii

ustami
jak kobiety z Pueblo nieruchomymi
oczami
jak z Pueblo
zatrzymanymi w niebie
modłę się w Dzień Zaduszny
za umarłego siebie

żeby wszystko policzone zostało:
szczerzy żal — gdy zapalu nie stało
ból — że jesteś przemianami pragnienia
gdy przemijas — że nie krzykiem
milczeniem

dzień się kończy
noc otwiera miasto
moim gwiazdom dobrotliwym
koniom siwym
czarnym pojazdom

nej ziemi, oprócz wyobrażony kształt twojego domu, w miejscu już znajomym i realnie istniejącym.

A potem na tej ziemi gromadziłeś latami piękną, czerwoną cegłę na twój dom, układałeś ją w wolno rosnące przyzmy, tak wolno, że najmłodsze z twoich dzieci rosło prędzej od niej.

Kiedy już uskladałeś tyle tych cegieł, że miało ich wystarczyć na twój dom, w nieprawdziwym, bo jeszcze nie własnym twoim domu nie pozostało już ani jedno twoje dziecko. Wszystkie rozjechały się po świecie i były z dala od ciebie i od tego miejsca, na którym wreszcie miał stanąć twój upragniony, prawdziwy i własny dom, taki sam, jaki od lat nosiłeś w sobie. Teraz mogłeś wyjąć go z siebie i postawić na posiadanej już ziemi, postawić w kształcie dobrze ci znanym i w każdym szczególe dokładnie już dawno przemyślanym.

Jeśli przyjechało do ciebie na krótkie odwiedziny któreś z twoich dzieci, mówiłeś mu o tym, że już niedługo stanie twój dom, który miał być również i ich domem, mówiłeś z zapałem, aż zachłystując się tym mówieniem o swoim domu, i dziwiłeś się niepomniernie, że słuchają tego obojętnie, jakby z grzeczności czy z nawyku wysłuchiwanie uważnie tego, co mówi im rodzony ojciec. Ale żadne z nich nie żyło myślą o domu, który w twoich zamiarach miał być również ich domem.

Wyjeżdżały z widoczną ulgą i przyjeżdżały coraz rzadziej, może dlatego, że nie chciały słuchać twojego mówienia o domu, a może po prostu dlatego, że coraz to bardziej pochłaniały ich własne sprawy, toczące się wokół nich, ale z daleka od ciebie, i od miejsca, na którym miałeś budować twój dom.

I nie było wtedy przy tobie żadnego z twoich dzieci, kiedy wezwałeś murarzy i opisałeś im dokładnie kształt domu, który miał postawić dla ciebie według przez ciebie ustalonego planu, na twojej ziemi i z twojej cegły, przygotowanej przez ciebie w dostatecznej ilości. Murarze wysłuchali cię uważnie i ze zrozumieniem, a kiedy przystąpił do urzeczywistnienia twojej idei twojego domu, do nadawania rzeczywistych kształtów temu, co miało już od dawna kształt ostateczny w tobie, sam musiałeś im poma-

gać, bo wszystkie twoje dzieci wymówiły się własnymi obowiązkami i odmówiły przyjazdu, a żona twoja ostatnio coś niedomagała i z trudem zdobywała się na najmniejszy nawet wysiłek fizyczny.

Sam więc myślałeś osobno każdą cegłę, aby dobrze trzymała murarską zaprawę i sam na ziemi w wybranym przez ciebie miejscu przygotowywałeś tę zaprawę, aby była wyrobiona jak najlepiej. Sam też wytyczałeś plan domu, który był już dawno przez ciebie ustalony, sam wyrysowałeś linie pod fundamenty twojego domu, linie dużego prostokąta i linie małych prostokątów wewnątrz niego.

A kiedy ściany twojego domu rosły coraz to wyżej, przylapałeś się na tym, że nie cieszysz się z tego tak, jak powinienes się cieszyć, jak myślałeś dawniej, kiedy były one dopiero wyobrażeniem ścian rzeczywistych, że będziesz się cieszył, gdy staną się one realnymi ścianami z dobrze spojonych cegieł, utrzymanymi w idealnym pionie i przyciągającymi oczy swoimi gładkimi powierzchniemi.

I nie cieszyłeś się tak, jak powinienes się cieszyć, nawet wtedy, kiedy ich rośnięcie ku górze zostało powstrzymane stropami, które miały stanowić sufity mieszkań w twoim domu, dla ciebie i twoich bliskich, twojej żony i twoich dzieci, których nie było przy tobie, kiedy poszczególne izby twojego domu zyskiwały swój kształt, swoją przestrzeń, określoną ścianami, sufitem i podłogą z pachnących, dobrze wysuszonych desek, ściśle przylegających do siebie. Nawet wtedy, kiedy na twoim domu leżał dach z czerwonej, falistej dachówki, kiedy z górującego nad nim kominą ukazał się pierwszy dym i począł piąć się prosto w pogodne niebo, twoje zadowolenie nie osiągnęło stanu pełnej wibracji całego ciała, gdy każde włókno każdego mięśnia drży niepowstrzymanie nieopanowaną, wszechobejmującą radością, nie pozostawiającą miejsca na żadne inne uczucia. Nawet wtedy, kiedy lśniące szyby okien twojego domu, kryjące za sobą jego przestrzenie wewnątrz, poczęły odbijać promienie słońca, które dawniej nie napotykały w tym miejscu na żadną przeszkodę, i blyszcząc w nich blaskiem miejsce zamieszkałych, o których wiadomo, że zawierają losy ludzkie, stawające się, rozwijające i dążące ku swemu przeznaczeniu.

Zbudowałeś więc ten dom... Zamieszkałeś w nim ze swoją coraz bardziej niedomagającą żoną, coraz wolniej poruszającą się po jego obszernych izbach i coraz bardziej cichnącą. I wewnątrz twojego domu, którego przeznaczeniem miało być wypełnienie głosami ludzkimi, świadczącymi o jego życiu, o jego pomysłowym trwaniu w czasie i w przestrzeni, stawało się coraz bardziej głuche, gdyż i ty odzywałeś się coraz rzadziej, w słuchany w natrętą i jednostajną nutę zawodu i niepokoju, jaki podnosił się w tobie, wypierając resztki zadowolenia z tego, że zrealizowałeś w końcu dzieło całego twojego życia, dzieło, któremu oddałeś wszystkie swoje myśli i wszystkie swoje pragnienia.

Teraz już często w samym środku bezsennej nocy, słuchając delikatnych, ledwie słyszalnych trzasków wysychających ścian, sufitów i podłóg twojego domu myślałeś sobie, że może nie warto było tak drogo płacić za ten dom, nie wypełniony przecież po brzegi ludzkim triumfalnym życiem.

I chociaż starałeś się odegrać od siebie te myśli, które zwałniały tętno twojej krwi i zraszały potem twoje czoło, wracały do ciebie z uporem i coraz bardziej dojmującą siłą, aż musiałeś wstawać z łóżka i wychodzić na dwór, aby w przepływających przez podwórce twojego domu zimnych podmuchach nocnego wiatru gasić ten ogień niewiary w celowość całego twojego życia, całkowicie i bez reszty oddanego za ten dom, w którym nie mogłeś wytrzymać wtedy, kiedy wszyscy ludzie zażywali w swoich domach kojącego, życiodajnego snu.

Po co zbudowałeś ten dom?!



ŁUT HISTORII, SZCZYPTA POLITYKI

Trzydzieści lat temu, 12 marca 1938 roku, wojska hitlerowskie, przekroczyły granicę austriacką i dokonały się dzieła tzw. Anschlussu czyli przyłączenia Austrii do III Rzeszy. Na ten akt bezprawia nikt nie kiwnął palcem w bucie. Liga Narodów już nie istniała, a gdyby nawet istniała, nie by nie pomogła, gdyż była to organizacja całkowicie bezsilna. Politycy przodujących krajów europejskich, Anglii i Francji, zgodzili się bez zmużenia powiek na polkniecie przez Hitlera małego i bezbronno państwa nadunajskiego. Byli jednak ludzie, wśród nich (o dziwo!) i historycy, którzy twierdzili, że jest to początek drugiej wojny światowej. Jakoż w rok później 1 września 1939 roku, Niemcy hitlerowskie napadły na Polskę i rozpoczęła się wielka i długotrwała wojna.

W tę trzydziestą rocznicę Anschlussu gazety nasze niewiele poświęciły miejsca owym historycznym wydarzeniom. Trudno się dziwić. Mamy wiele własnych spraw i kłopotów. Ukazała się natomiast książka, która przynajmniej w części poświęcona jest przypomnieniu tamtych dramatycznych dni. Chodzi o „Wzdłuż mojej drogi” Jana Gawrońskiego. Autor, który w okresie międzywojennym dał się poznać jako zdolny dyplomata, reprezentujący Polskę na placówkach w Berlinie, Ankarze i Wiedniu, błysnął również talentem literackim, ogłaszając przed trzema laty dwie książki: „Dyplomatyczne wagi” oraz „Moja misja w Wiedniu”. Jego obecna, trzecia z kolei książka, zawiera szereg portretów i sylwetek ludzi, z którymi autor stykał się osobiście w ciągu swej wieloletniej służby dyplomatycznej. Piszącego te słowa zainteresowały najbardziej portrety dwóch kolejnych kanclerzy Austrii: Dollfussa i Schuschnigga, a także jej prezydenta Miklasa. Dollfuss, jak wiadomo, został zabity przez hitlerowców podczas próby dokonania przewrotu w Austrii, zaś Schuschnigg i Miklas przeżyli tragedię upadku swego kraju. Po zagarnięciu Austrii, hitlerowcy uwieźli Schuschnigga w obozie koncentracyjnym w Dachau, w którym przeżył on całą wojnę, a po wyzwoleniu przez wojska alianckie wyemigrował do Ameryki, gdzie od r. 1948 wykładał jako profesor na uniwersytecie w Saint-Louis. Miklas zszedł zupełnie z areny politycznej i aż do śmierci (20 marca 1956 r.) pozostał w cieniu. Tragedią Austrii było to, że nie mogła oprzeć swego niepodległego bytu o pomoc żadnego z jej wielkich sąsiadów: Niemcy hitlerowskie dążyły od początku do Anschlussu, jeśli natomiast chodzi o Włochy Mussoliniego, które początkowo kokietowały Austrię, by wygrać ją w przetargach z Niemcami, oddały w rezultacie ten mały kraj w ręce Hitlera. Próby sojuszu Austrii z Czechami i Węgrami, czy Jugosławia nie powiodły się, gdyż państwa te, prowadzące wówczas sprzeczne między sobą interesy, nie mogły stanowić dla niej żadnego trwałego oparcia.

Książkę Jana Gawrońskiego czyta się nie bez przemyśleń pewnej goryczy. Czy istotnie historia jest mistrzynią życia? Czy świadomość starych błędów jest w stanie ostrzec narody od popełnienia nowych? Czy możliwa jest taka organizacja międzynarodowa, która byłaby zdolna zapobiec powstawaniu konfliktów, a jeśli te już powstały — ich rozwiązaniu? Na przykładzie polityki Dollfussa, a później Schuschnigga widać wyraźnie, jak mści się każde nie-

zdecydowanie i próba postępowania wedle formuły „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek”. O kanclerzu Dollfussie, człowieku tak małego wzrostu, że kiedy siedział na krześle, nie dosięgał nogami podłogi, krążyło wiele anegdot. Nazywano go „Milimeternichem”, w Wiedniu powtarzano sobie zabawną plotkę, że ministerstwo poczty wypuści znaczki z podobizną Dollfussa naturalnej wielkości. Dollfuss, człowiek chłopskiego pochodzenia, był bardziej gospodarzem i działaczem niż politykiem, Schuschnigg — bardziej uczonym, niż mężem stanu. Nie dziwno, że o ich chwiejnych rządach mówiono źle. Angielski historyk, Gordon Shepherd, autor dzieła „Austriacka Odyseja”, napisał, że obaj ci kanclerze „wychowywali patriotów, którzy nie byli demokratami i demokracjami, którzy nie byli patriotami”. Gdy kolumny hitlerowskie wjeżdżały do Wiednia, tysiące austriackich nazistów wiwatowało na cześć Anschlussu, ale już wkrótce tysiące innych Austriaków poszło do obozów koncentracyjnych i do podziemia. Zagrożeni antyfaszyści popełniali samobójstwa, inni próbowali ucieczki za granicę (do Polski uciekli dwóch znakomitych pisarzy Józef Roth i Franz Theodor Csokori).

Jan Gawroński rysuje również sylwetkę Adolfa Hitlera, z którym rozmawiał nazajutrz po zajęciu Wiednia. Dopiero tu, w tej książce, znaleźliśmy opis wyglądu Hitlera i jego cech fizycznych. Ten człowiek o małych świdrujących oczkach, rzytych włosach, z dwoma charakterystycznymi wąsikami pod nosem i kosmykiem spadającym z czoła włosów, robił wrażenie „groteskowej maski”. Było w nim coś z błazna i coś z wariata. I pomyśleć, że taki właśnie rzucał na kolana satelitów i obalał ustroje. Zimno mi się robiło, gdy czytałem „Wzdłuż mojej drogi” Jana Gawrońskiego.

Czytelnik o słabych nerwach znajdzie w niej wspomnienia o ludziach, którzy zajmowali się sztuką, nie zaś — polityką i podbojem. Cała pierwsza część książki zawiera portrety znanych i wybitnych muzyków (wirtuozów, kompozytorów i dyrygentów). Gawroński należał do tego typu dyplomata, którzy lubią sztukę. Chętnie więc chodził na koncerty i zapraszał do siebie sławnych koncertmistrzów. Mamy w jego wspomnieniach Paderewskiego, Hubermana, Toscaniniego, Rodzińskiego, Mahlera, młodzieńczego wtedy Małcużyńskiego i wielu innych.

Jednakże główny ciężar książki stanowią portrety i sylwetki polityków. One też dają czytelnikowi najwięcej do myślenia.

Jan Gawroński: „Wzdłuż mojej drogi”, Sylwetki i wspomnienia. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1968.

Wspomnienia weteranów rewolucji

„Może nie powinnam pisać, bo za dużo luk w tej opowieści, ale słyszę, że inni towarzysze też szykują swoje pamiętniki, więc to się chyba jakoś uzupełni”.

Powyższe zdanie, wyjęte ze wspomnienia Józefa Barjasz, autorki jednego z pięciu nastu wspomnień składających się na tę książkę, jest trafną charakterystyką całego tomu. Poszczególne teksty są tam fragmentaryczne, pełne luk i zapomnianych wydarzeń, ale właśnie wzajemnie nakładają się na siebie, uzupełniają, niekiedy wzajemnie komentują. Z całości wyłania się chropawy, ale ostry i sugestywny obraz Łodzi robotniczej z końca XIX i początku XX wieku, obraz Łodzi klepiącej biedę, prześladowanej, walczącej i bibulą i browningiem o prawa do lepszego życia.

Bodaj Tadeusz Chróścielewski zauważył kiedyś, że jakkolwiek okres obydwo rewolucji na ziemi polskiej świat nie znamy z podręczników, to jednak brak nam żywych, bezpośrednich relacji o tych wydarzeniach.

Ano, niestety, czasy rewolucji w Polsce nie miały tak znakomitych kronikarzy jak Szolochow, A. Tołstoj, Babel, Eisenstein. Dobrze się więc stało, że Komitet Łódzki PZPR podjął trud zainspirowania, opracowania i wydania tej książki. Co prawda wspomnienia starych działaczy, robotników z epoki Poznańskiego, Scheiblera, Buhlego — ludzi rzadko mających okazję do wypowiedzenia się piórem nie zrekompensują w pełni braku literatury takiej, jaka powstała w języku rosyjskim. Jednak to, co kiedyś najczęściej szeleściło papierem, co było chłodną, dostojną historią — przemówi do czytelników tej książki surowymi dramatycznymi obrazami, za suchymi faktami staną żywi, konkretni ludzie.

W otwierającej książkę przedmowie i sekretarza KŁ PZPR, Józefa Spychalskiego, czytamy, że „Referat Historii Partii KŁ PZPR wspólnie z Wydawnictwem Łódzkim przygotowują do druku następne tomy wspomnień Łódzkich weteranów ruchu robotniczego. W przyszłym roku ukażą się wspomnienia działaczy KPP i PPR...”

A więc dzieje walki łódzkiej klasy robotniczej zostaną jeszcze bardziej uzupełnione, jeszcze bardziej przybliżone współczesnemu czytelnikowi. Ale nie tylko. I znów zacytujmy tow. Spychalskiego: Publikując wspomnienia...

„oddajemy hołd wszystkim, którzy w ruchu rewolucyjnym brali żywy udział, nie szczędząc swych sił ani życia dla zwycięstwa socjalizmu”.

Jeszcze informacja: omówiona tu pokrótce książkę, wydawcy uzupełnili bardzo cennymi wyczerpującymi przypisami oraz indeksami osób, nazw geograficznych, ulic, placów, parków, dzielnic i zakładów przemysłowych Łodzi.

Okresu rewolucji — już nie w Łodzi i nie w Polsce —

dotyczy również książka Stefana Szpingera**). Autor, z zawodu księgarz, był pracownikiem firmy wydawniczej Gebethner i Wolff, przeżył — jak sam to określa — swoją wielką przygodę w Rosji. Jako poddany niemieckiego wywieziono go z Łodzi na początku pierwszej wojny światowej. Saratow, Kazan, Wiatka — oto trasa jaką przebył zanim osadzono go na północy carskiego imperium.

Kiedy wiosną 1915 roku car zezwolił internowanym w głębi Rosji Słowianom na osiedlanie się w centralnych guberniach, Szpinger natychmiast udał się do Moskwy, gdzie zaczął pracować w księgarni polskiej. W Moskwie autor książki zetknął się po raz pierwszy z działalnością rewolucyjną. Początkowo był tylko życzliwym obserwatorem wszelkich poczynąń Partii Bolszewików, aż z czasem sam włączył się w nurt walki. Po skończeniu rewolucji Komitet Partii wysłał go do Saratowa, gdzie pracuje on w aparacie propagandy.

W czasie wojny domowej Szpinger trafił do konnej armii Budionnego, przechodząc pod rozkazami tego legendarnego dowódcy niemal cały szlak bojowy.

Spisane przez Stefana Szpingera wspomnienia czyta się łatwo, szybko, z zainteresowaniem. Wydaje mi się, że jest to ten sposób narracji: jaką pamiętamy z Umińska go. Groza rewolucji i wojny jest tam złagodzona, podana lekko i powiedziałbym taktownie. To wszystko, łącznie z wieloma obrazkami obyczajowymi i bezpretensjonalnymi obserwacjami — sprawia, że książka Szpingera może stanowić pozytywne wprowadzenie w problematykę tamtych czasów — przede wszystkim dla młodzieży.

*) „Wspomnienia weteranów rewolucji” — KŁ PZPR, Wydawnictwo Łódzkie, 1967, str. 450, cena zł 15.

** Stefan Szpinger: „Z pierwszą konna”. Wydawnictwo Łódzkie, 1967, str. 210, cena zł 13.



TERESA WOJCIECHOWSKA

Litografie Wacława KONDKA

Po dwuletnim okresie nieobecności na ekspozycjach, Wacław Kondka znów wystawił swoje prace, tym razem w Klubie Dziennikarza. Na wystawie składają się 31 litografii, które są częścią całości — 100 litografii, stanowiących dorobek artysty, stworzony w 1967 roku. Pokazane w Klubie Dziennikarza prace pochodzą z trzech cykli: „Don Kichot”, „Skrzydlate postacie” i „Pejzaże”.

Najliczniej reprezentowany i najbardziej może komunikatywny jest „Don Kichot”, temat szczególnie bliski sercu artysty. Jedną z najpopularniejszych w literaturze światowej postaci

blednego rycerza zawszeINTRYGOWAŁA, niepokoiła i interesowała Kondka jako temat twórczy. Reminiscencje motywu donkiszotowskiego powracały w jego twórczości w różnych wersjach.

Don Kichot w ostatnich litografiach Kondka jest smutny, jest przeraźliwie samotny. Nie ma przy nim nawet Sancho Pansy.

— Smutne, ponure groteski — nazwał autor ten cykl. — Im jesteśmy obaj starsi — on i ja — tym lepiej widzę jego nieprzydatność. Przecież każda epoka miała swoich donkiszotów, samotnych romantycznych fanatyków bezsensownej walki. Nasza epoka techniki, maszyn, obliczeń naukowych i podróży kosmicznych nie pozostawiła miejsca dla Don Kichota.

Czy jest to więc ostatnia wersja tego tematu w twórczości Kondka? Chyba jednak nie, chyba wrócił jeszcze w innej wersji, może pogodniejszej, może jak niegdyś żartobliwej. Może Don Kichot będzie już wówczas przystosowany do nowej epoki maszyn i podróży kosmicznych? Wszak każda epoka ma swoich donkiszotów...

„Skrzydlate postacie” są trudniejsze w odbiorze. Autor nazywa je również „Ziemiakimi postaciami” lub „Czarnymi aniołami”. Kondka nie lubi wielkich słów, mówi no prostu: to cykl oparty na skojarzeniach, poświęcony ziemi. Ale w gruncie rzeczy, jak wszystko co tworzy Kondka, cykl ten poświęcony jest człowiekowi i ziemi, na której człowiek żyje.

Gdyby mi było wolno, nadałabym temu cyklowi nazwę „Niszczyciele”. Człowiek przeciw sobie, człowiek przeciw człowiekowi, człowiek przeciwko cywilizacji, przeciwko temu wszystkiemu, co sam zbudował i stworzył. „Miasto” — wizja rozpadającego się miasta, opartego na ramionach „czarnego anioła”, „Skóra”, „Czarnozem” — pesymistyczne obrazy działalności ludzkiej.

I wreszcie „Pejzaże”. Powstały w wyniku samotnych wędrówek na dalekie peryferia miasta, na Bałuty, Kondka lubi wędrować tam, gdzie nie dotarły jeszcze plany urbanistyczne, gdzie pozostały skazane na krótkie już życie, autentyczne przedwojenne rudery. Dziś tych ruderek nie ma, zostały rozebrane, lub rozpadły się same. Artysta utrwalił ostatnie chwile ich życia. Ale one, jak wszystko zresztą, na co spojrzą oczy Kondka, nabierają cech ludzkich, personifikują się, żyją jakimś własnym, autentycznym życiem. Oto „Dom do rozbiórki”. Żyje i cierpi, rysy i pęknięcia na murze nabierają wyglądu układu krwionośnego, sieci nerwów, kamienne bryły mają kształty anatomiczne ludzkich narządów, serc, czarne łamy okien przypominają puste oczodoły. Oto „Pejzaż I” — umierające, usychające drzewo ma ludzkie rysy, cechy ludzkiego cierpienia.

Wśród pejzaży łódzkich znalazły się i reminiscencje leżycykie. Ziemię leżycykie specjalnie sobie artysta upodobał. Jest w

niej coś, co pobudza jego fantazję. To jest ciekawa ziemia — mówi — na pewno dalego właśnie tam umieszczono Borute.

Litografie Kondka są smutne, świat widziany tego oczyma jest pesymistyczny, nieprzyjemnie zapewne wybrał dla tego nastroju czarno-biały kolor grafiki. Gdzieś podziła się pogoda, radość życia, które były z jego dawniejszych prac. Podział się gdzieś żartobliwy uśmiech i zabawa jaka podejmował przystępując do niektórych tematów, gdzieś daleko pozostało pyszne bogactwo barw, którymi tak pięknie szafował.

Twórczość artysty składa się z wielu okresów, podporządkowanych nastrojom i przeżyciom. Potrzebna jest ich różnorodność, by talent twórcy był wszechstronny. Pesymizm Kondka jest twórczy, jeszcze raz i od nowa odkrywa skalę jego talentu. Dziś, gdy oglądamy te wystawy, Wacław Kondka ma w swej tece 70 nowych rysunków poświęconych zabytkowym kamienicom ulicy Piotrkowskiej. Jego upodobanie i sentyment do pejzażu łódzkiego są konsekwentne. Rudery i nowoczesne budownictwo, zabytkowe kamienice, a w przyszłości ma zamiar zainteresować się fabrykami i pałacami łódzkimi. Być może, prace jego będą kiedyś jedynym tego rodzaju dokumentem — dziełem sztuki, utrwalałym architektoniczną historię naszego miasta.

Chwila spoczynku

Jako autor czterech znakomitych filmów dokumentalnych, czeski reżyser Ewald Schorm realizuje pełnometrażowy film fabularny „Odważa się na co dzień” (1964). Rozlicza się z nim bezkompromisowo z okresem kultu jedynostki i z hasłami propagowanymi w Czechosłowacji w latach pięćdziesiątych. Z tej przyczyny „Odważa się na co dzień” weszła na ekrany po wielu perypetiach. Ale film ten, a także następny — „Powrót syna marnotrawnego” — psychologiczny dramat współczesnego człowieka — postawił Schorma w rzędzie najambitniejszych twórców czeskiej nowej fali. Swą rangę artystyczną potwierdził ukończonym niedawno trzecim filmem „Pięć dziewczyn na karku”.

Sądzimy, że uwagi Schorma określające jego postawę jako człowieka i artysty są na tyle interesujące, że warto je tu przedstawić.

* * *

Unikam, jak mogę, wywiadów prasowych, dlatego, że i tak każdy akceptuje tylko rzeczy wygodne dla siebie i widzi tylko to, co chce zobaczyć. Tolerancja i zrozumienie są rzeczą rzadką i cenną. Dlatego najlepiej milczeć. Na prawdę szczerzy może być czołowiek chyba jedynie w pracy — i to nie zawsze. Ostrożność i strategia, do której wszyscy nakłaniają — to koniec. Ale szczerść to również konieczność.

Trzeba koniecznie starać się być sobą. Dopiero wtedy można być czymś więcej. Nie jest to najszczęśliwsze rozwiązanie, być określonym z zewnątrz, przez innych — a nie przez samego siebie. To chyba konieczność szanować własną osobowość, być pewnym siebie i nie zrażać się całym absurdem świata. Czołowiekowi potrzebna jest siła. Siła duszy. O to właśnie chodzi. — Fromm mówi: „Miłość

jest aktywnością — siłą duszy”. To mi się podoba. Każde podejmowanie decyzji jest bardzo trudne, ponieważ okoliczności bywają często niejasne. Wielu ludzi mówiło mi: W obozie sytuacji, ograniczone, sens ma tylko niestanne sprawdzanie i tworzenie. Jeżeli coś ma przetrwać musi przejść próbę witalności. Pewien mądry człowiek powiedział kiedyś, że wszystkim rewolucjom grozi kryzys, o ile będą chciały poprzestać na swych osiągnięciach, zachować status quo, rezygnując z niestannego sprawdzania własnych sił i własnych ideałów. Dlatego w historii sztuki często zdarza się, że wielu awangardzistów plynę pełną parą do bezpiecznych portów akademizmu. Człowiekowi potrzebna jest wielka siła do odnawiania samego siebie i zobaczenia własnych błędów. Nigdy nie dosyć jest niepokoju. Człowiek i tak nie powie pełnej prawdy o sobie. Przekończy wylom w odwiecznej samoobłudzie znaczący już wielki postęp.

Nie ma sprawiedliwości ani niesprawiedliwości. To wszystko jedno. To tylko my z punktu widzenia naszego, nędznego, krótkiego życia zębimy o łaskę, której nigdy nie otrzymamy, bo nie możemy jej zresztą otrzymać. Jakiegokolwiek oczekiwania sprawiedliwości jest niepożądane i beznadziejne. To, co mówię, nie jest bynajmniej narzekaniem albo staraniem. Trzeba, jak mówi jeden mój przyjaciel, któremu wiele zawdzięczam, trzeba tylko o tym wiedzieć. Człowiek może, oczywiście, ogrzać się wochę przy pięknej ale obojętnej

nej bujności życia — ciągle śpiewają ptaki, drzewa kwitną i przekwitają, śnieg jest biały.

Jesteśmy zazwyczaj wielkimi estetami. Pragniemy rzeczy gładkich i harmonijnych. Uwazamy, że twórczość, sztuka powinny być jak deser po dobrej kolacji. Ale ja osobiście jestem za ością w gardle. Pierwiastek desmukcji, istniejący w każdej twórczości, jest tym bodźcem, który zmusza człowieka do rozwiązywania własnych konfliktów. Życie bywa zazwyczaj niepewne i nieobliczalne.

Schopenhauer mówi, że wszystkie sztuki mają tendencję zbliżania się do muzyki. Muzyka jest wspaniała. Prowadzi i nie ogranicza, unosi i pozostawia każdego w jego samości. I posiada do skonały porządek. O to właśnie chodzi: ograniczenie jest piękne. Oczywiście i w muzyce można kłamać, ale w mniejszym stopniu. Sama dobra wola i amatorski entuzjazm tu nie wystarczają. Trzeba coś wiedzieć. W filmie braki dają się łatwiej zamaskować i na tej samej zasadzie łatwiej o filmie ferować wyroki. Nie trzeba do tego zbyt wiele wiedzieć. Wystarczy amatorski zapal. Ten, którego gama c-dur przeraża swoją skomplikowaniem, potrafi wydać natychmiastową ocenę filmu lub scenariusza.

Mówi się o filmie, że jest wielkim oszustwem, że nie ma w nim rzeczy niemożliwych, ale problem jest znacznie bardziej złożony. Nie chcę nigdy ograniczać się do jednego sposobu rozumienia dzieła filmowego. Jeżeli jakiś autor chce ze mną współpracować, pozwalam mu rozwinąć jego myśl i uczucia. Więcej warta jest myśl autora niż moje własne bagroiny. Właśnie taka współpraca sprawia mi przyjemność.

Chcę pracować jak tylko mogę najlepiej — jeżeli, oczywiście, mogę. I chcę oddać się pracy, a nie dyskusowaniu. Jeżeli to będzie możliwe. Lubię w teatrze średniowieczny moralitet, ale sam nie mam odwagi ani ochoty kogoś doskonalić. — Raczcie sam powinieneście się doskonalić. Może w chwili największej za rozumiałości miałbym jedno życzenie: inspirować, choćby przez chwilę skłonić do zamyslenia. Chciałbym, żeby film stanowił rezultat refleksji, widać, żeby zbliżył się do muzyki, żeby każdy mógł myśleć dla siebie, na swój własny sposób oderwać się od tego, co dzieje się na ekranie i wsłuchiwać się we własną, wewnętrzną muzykę wyobrażeń, marzeń i snów i tylko poprzez tę wewnętrzną muzykę korespondować z filmem.

Filmu jako dzieła sztuki. Nie jest takich? Ogląda się je zwykle podejrzliwie ze wszystkich stron. Może to się w przyszłości zmienić. Odnoszę się jednak sceptycznie do wszystkich teorii o ciągłym postępie.

Najlepiej milczeć. I tak wszystko prowadzi do niczego. Ale człowiek musi wiele wycierpieć, zanim wszystko przegra. Ani przez chwilę nie zamierzam mówić o sztuce. Ja o tym nie wiem, od tego są inni. Niech każdy myśli i szuka po swojemu. Życzę mu tego, tak jak sobie życzę.

Jest oczywiście praca, obowiązki, walka, rodzina, społeczeństwo, rozmowy o sztuce i, oczywiście, sztuka, ale powinna też być chwila spoczynku. Zwykła chwila spoczynku, jak mówi przyjaciel Li Po:

Siwa woda rozlana
z srebrną czapką
stoją na grobli, oczy
przysłaniają,
patrzę się w ciszę nad
głową.
oprac. Tadeusz Lis

A może
bysmy tak
do KINA

■ Kto lubi romans i malowniczą, egzotyczną scenografię wien obierze radziecki film w reżyserii Stanisława Roztoczkiego „BOHATER NASZYCH CZASÓW — BELLA”, oparty na opowiadaniach Lermontowa. Miłośnicy twórczości wielkiego rosyjskiego poety poczują się zapewne rozczarowani, gdyż z „romantyzmami” Lermontowa pozostało w tym filmie niewiele, mimo przesyłanej chwilami wierności wobec tekstu. Ale w każdym razie jest to godne uwagi widowisko ekranowe.

■ Wielbiciele westernu (na pohybel tym, którzy nimi nie są) pobięza bez wątpienia na „RINGO KIDA” Gordona Douglasa, remake słynnego „Dyżansu” Johna Forda. „Ringo Kid”, mimo koloru i szerokiego ekranu nie dorównuje wprawdzie swemu znakomitemu pierwowzorowi, ale zawsze dostarcza porcji mocnych wrażeń. Douglas, w przeciwieństwie do klasyków westernu, lubuje się w okrucieństwie i to psuje chwilami „szlachetność” naszych doznań. W roli lekarza-pijaka — sam kochany i niezapomniany Bing Crosby.

PTO OBIEKTYW

Stawka większa niż czterech pancernych

Film w telewizji to nie to samo co w kinie. Nie muszą chyba o tym nikogo przekonywać, choć skądinąd są ludzie, dla których zakup telewizora oznaczał kres bywania w kinie, w teatrze, a nawet czytania książek. Czarodziejska skrzynia ze szklanym wizerunkiem zastąpić ma wszystko, zagospodarować cały czas wolny, zaspokoić wszelkie kulturalne potrzeby.

Nie zalecając nikomu traktowania telewizora jako panaceum, próbuje wyjaśnić, jak to jest z oglądaniem filmów w telewizji.

Najprościej wyeliminować na wstępie filmy barwne, pa noramiczne i cineramiczne (projekcja z taśmy 75 mm, stereofonia itp.). Te rodzaje filmów albo w ogóle nie nadają się do emisji w telewizji, albo można je oglądać w TV jako marny cień oryginału. Np. filmy panoramiczne pokazywane są w formie kasetowanej, czyli z ciemnymi pasami u góry i u dołu. A ile traci się często przy przekazywaniu obrazu barwnego w formie monochromatycznej, czyli czarno-białej.

■ Ale nawet w stosunku do filmu czarno-białego percepcja w kinie jest inna, niż przy odbiorze telewizyjnym. Duży ekran kinowy daje efekt o wiele lepszy. Dopiero w tym wymiarze ocenę możemy właściwie plastykę zdjęć, piękno kadru filmowego.

Również współczesnictwo w seansie kinowym liczonej publiczności oddziałuje na nasz sposób odbioru filmu. Stajemy się częścią kinowej widowni, stajemy z innymi ludźmi we wspólnych reakcjach, zwłaszcza we wspólnym śmiechu.

A w domu? Jesteśmy również członkami widowni, ale zatimizowanej. Znamy własne reakcje na film i kilku domowników, oglądających go razem z nami. Nie wiemy, jak dany film przyjmują kilku- czy kilkunastomilionowa rzesza widzów. Trzeba do piero późniejszych enuncjacji prasowych, sondowania opinii publicznej dla ustalenia, czy nasza ocena pokrywa się z oceną większości.

Na dobrą sprawę filmy w telewizji oglądamy dla ich walorów treściowych, nie formalnych. Kilkunastociałowy ekran niweluje wyrafinowane majsterzki operatorskie, sprawdza wszystko do śledzenia wątku fabularnego. Ginie również szeroka epika pleneru. Góry, skały, przepaście sprwadzone do formatu telewizora traca swą grozę, stają się miłe, obłaskawione. Albo weźmy bitwy morskie, walki gładiatorów, wyścigi kwadryg. Ekran telewizora tłamsi je, odbiera im rozmach, dynamikę.

I tak zbliżamy się do określenia specyfiki filmu telewizyjnego. Winien on w większym stopniu operować zbliżaniem, unikać wielkich planów ogólnych. W takim filmie już

zgrupowanie 6-7 osób tworzy tłum, zaś dłuższe sceny dialogowe z przechodzeniem z twarzy na twarz rozmówców bynajmniej nie są niewskazane.

Tematyka filmu telewizyjnego także nie jest obojętna. Praktyka wykazuje, że największym powodzeniem cieszą się filmy sensacyjne, fantastyczne, dreszczowce, kryminały. Świadczy o tym popularność takich serii telewizyjnych jak „Cztery pancerni i pies”, „Święty”, „Bonanza”, „Alfred Hitchcock przedstawia”, „Przygody Sherlocka Holmesa”, „Uciekinier”, a z dawniej nadawanych — „Zorro”, „Robin Hood”, „Wilhelm Tell”, „Baron” i „Doktor Kil dare”.

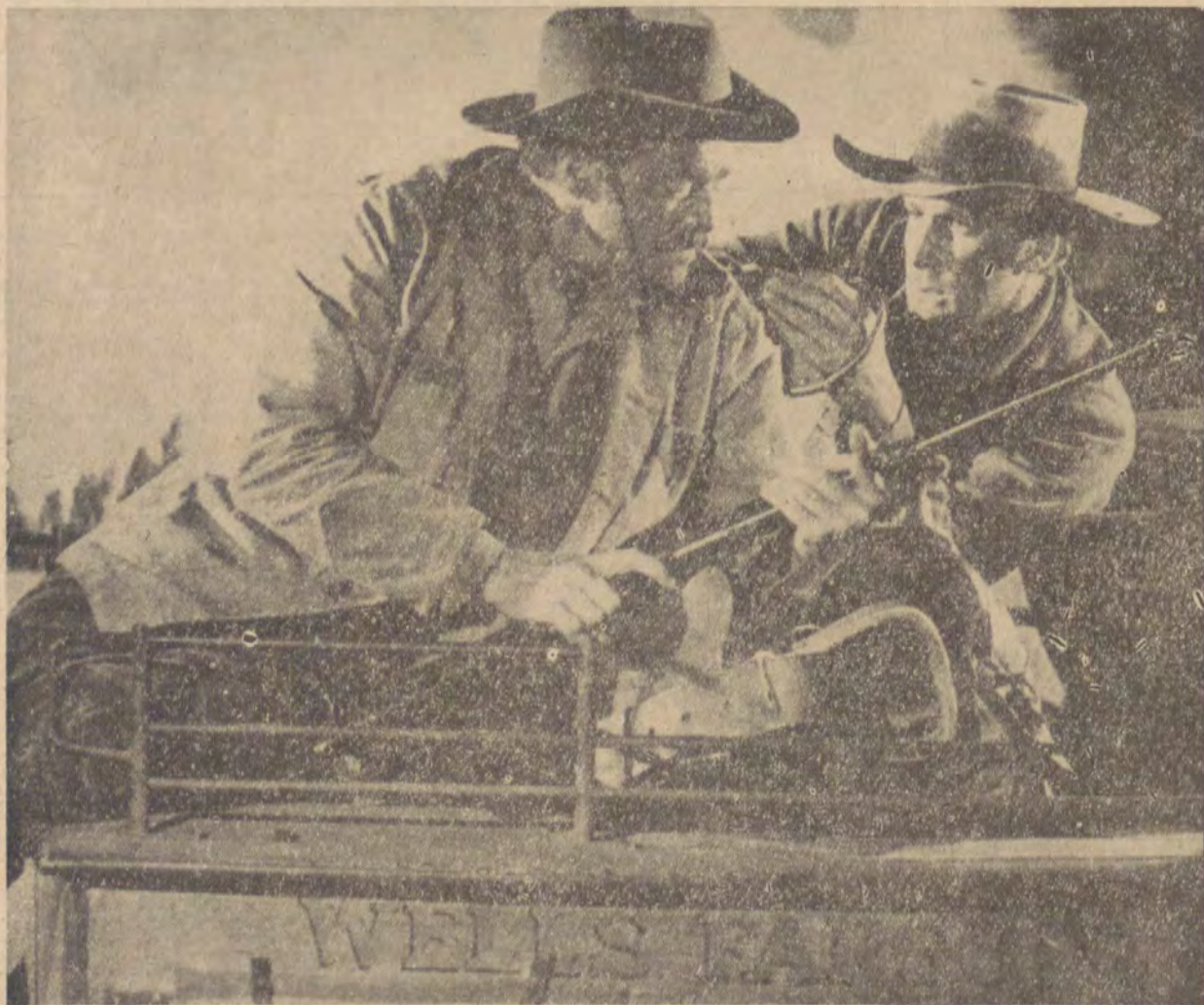
Widocznie mały format telewizora i kameralność telewizyjnych seansów pragniemy zrekompensować sobie gwałtownością przeżyć, podnieceniem, emocjami. Trzeba przy tym dodać, że właśnie w telewizji, nie kinie, łatwiej jest wylansować typ popularnego bohatera.

Zawrotna kariera Richarda Chamberlaina (Kildare), Rogera Moore'a (Templar), czy naszego Janusza Gajosa (Janek) jest w swej intensywności nie współmierna do osiągnięć aktorskich. Są to bowiem boha terowie uosabiający aspiracje i marzenia milionów przeciętnych ludzi. Żyją w wyobrażeniach widzów nie jako aktorzy, ale jako postacie, które kreuja.

Nic dziwnego, że nawet sami wykonawcy znanych ról te lewizyjnych czują się popularnością swoją nieco zażenowani. Chamberlain, z którym rozmowę przeprowadzał niedawno w Londynie dla polskiego telewizyjnego red. Andrzej Nowaliński, poinformował nas, że definitywnie porzucił rolę Kildare'a, która odbierała mu własną osobowość. Myślę, że i Gajos nie chciałby gruntownie swej kariery aktorskiej na kontynuowaniu bez końca roli Janka z „Czterech pancernych”.

Niewątpliwym wydaje się fakt, że telewizywne wola oglądać na małym ekranie filmy telewizyjne, to jest te, które zrealizowano z myślą o telewizji. Dopiero taki film daje publiczności pełne zadowolenie. Nic dziwnego więc, że w Polsce ruszyła wreszcie pełna para produkcja filmów telewizyjnych. To dobrze. Dla czego mamy szaleć tylko za obcymi bohaterami, których importować musimy za dewizy? Przykład „Czterech pancernych” świadczy, że stać nas na własne seriale.

Otwiera to przed naszą kinematografią i przed twórcami filmowymi szerokie perspektywy. Telewizja nie jest konkurentem kina. Potrzebuje tylko produkcji filmowej odpowiadającej jej specyfice.



POLETKO
TELE-
OBIEKTYWU

nr 14

Pan Tadeusz B. Dobrzyński nadesłał do PTO dość długi wiersz, w którym opowiada, jak bardzo upodobał się ci, którzy nie posiadają telewizora. M. in. nie wiedza oni...

— że Terpilowski dręczy kobietę
— że z kartki czyta nawet... KTT
— że „Gwardia” z pierwszej może spaść ligi
— że zapowiadał Suzin na migi
— że się ożenił Boguś Łazuka
— że modna znowu w Polsce peruka
— że Kostka może mówić o szczęściu,
— że zwykle błąd jest po osiągnięciu
— że Antczak został Hanuszkiewiczem
— że Filler chłoscze satyry kiczem itd.”
My dzięki posiadaniu telewizora o tym wszystkim i o wielu jeszcze rzeczach wiemy. Dobrze nam tak!
PTO dziękuje Autorowi za wiersz.

— * —

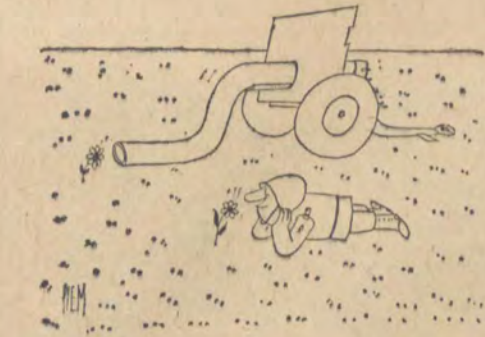
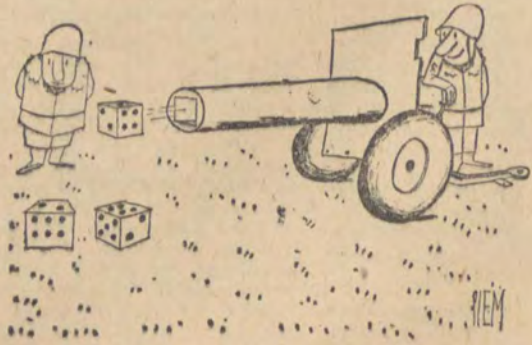
Piszcie do PTO? Czyżby wszystko w programie TV wam się podobało?

W. O.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje



PIEM

■ We francuskiej prasie bardzo często pojawiają się humorystyczne rysunki podpisane PIEM. Kto kryje się za tym pseudonimem? Paryski tygodnik „Les Lettres Françaises” poświęcił ostatnio artykuł temu rysownikowi. PIEM to Pierre de Montvallan. Musiał sobie znaleźć jakiś pseudonim, gdyż jak twierdził, szybko sprowadza rysunek niż się na nim podpisuje. Wcześniej PM, później PEM, nie był jednak zadowolony z brzmienia tego

pseudonimu, więc wręczył zdecydował się na PIEM.

Pierre de Montvallan ma za sobą studia w szkole Sztuki Pięknych, następnie pracował w atelier Paul Colina. Do rysunków humorystycznych zabrał się dopiero po wojnie. Twierdzi, że pomysły przychodzą mu łatwo i dźwi się, że jego koledzy rysownicy narzekają czasem na brak pomysłów. Gdy za śladu do rysowania, temat przychodził mu sam. Rysunki PIEMA cieszą się dużym powodzeniem,



Archimedes!

JÓZEF ŚMIAŁOWSKI

CHŁOP patriotą?

Wydaje mi się, że Brodowska*, mimo pełnej sympatii dla rodzającego się w drugiej połowie XIX wieku politycznego ruchu chłopskiego, jest zbyt ostrożna i obawia się wyraźnie zaakcentować oczywisty — w świetle przez nią sama zbieranych i prezentowanych w książce materiałów — patriotyzm chłopów. Ten moment jest głównym punktem mego sporu z autorką, ponieważ jest to wezwanie problem recenzowanej książki, choć autorka tego wyraźnie nie akcentuje. Wezwały i z tego powodu, że prawa do patriotyzmu odmawiały chłopom dość długo — generalnie

biorąc — zarówno szlachta, ziemiaństwo, burżuazja jak i pewne kręgi inteligencji. Książka Brodowskiej jest owocem kilkunastoletnich zmudnych poszukiwań archiwalnych zarówno w kraju jak i w archiwach Moskwy i Leningradu oraz rzetelnej kwerendy bibliotecznej.

Brodowska należy do tych nie liczących, którzy zajmują się mało popularnymi problemami historii agrarnej i ruchu chłopkiego i dostrzega w nich słusze nie ogromne znaczenie dla rozwoju politycznej świadomości chłopów. Badaniami swoimi w wiazuje ona do nie były jakich tradycji, bo do L. Krzywickiego, A. Świętochowskiego i J. Chalasińskiego. Autorka bada kształtowanie się świadomości chłopów w ścisłym związku z warunkami gospodarczymi i społecznymi. Na czoło tych zagadnień, w okresie omawianym w książce wysuwały się: powstanie styczniowe i dekret uwłaszczeniowy Rządu Narodowego, do których chłopów nawiązuje w jakis sposób ustosunkowanie, a następnie carska reforma uwłaszczeniowa z zastrzeżeniami w wyniku jej realizacji nowymi konfliktami między dworem a wsią, wzmajem i serwitutu. Nasilenie tych walk było ogromne a ich przebieg do dzisiaj mało zbadany. Żadnym konflikt społecznym, ożywny niekonsekwentna realizacja uwłaszczenia powodował, że

chłopi intensywniej niż poprzednio występował przeciwko ziemiaństwu, praktycznie odcyzając to, co w ciągu wieków szlachta im zabierała. W tym konflikcie chłopci szukali często pomocy u władz administracyjnych, policyjnych i sądowych reprezentujących zaborce. Dało to historiografii konserwatywnej podstawy do twierdzenia, że chłop nie solidaryzował się z dworem, który jakoby wyznaczył nie reprezentował polskie środowisko patriotyczne; że nie miał poczucia świadomości narodowej i że wernie stał przy carze, torpedując wszelkie patriotyczne porwy szlachty. Jeszcze i dziś nietrudno spotkać w naszym społeczeństwie epigonów tego poglądu. Nie chciano dostrzec, że znacznie częściej niż chłopci, zwracali się o pomoc do władz rosyjskich ziemianie i co ważniejsze — otrzymywali ją.

Stanowisko jakże administracja carska zajmowała w konfliktach między dworem a wsią, z reguły życzliwe dla dworu, wpływało na kształtowanie się stosunku chłopów do tej administracji. Chłopi wbrew utartym i obiegowym do niedawna opiniom nie odnosili się nigdy życzliwie do administracji carskiej, ani — co za tym idzie — do samego caratu, na co Brodowska daje liczne i przekonujące przykłady w rozdziałach II i III. Nawet bezpośrednio po uwłaszczeniu chłopci przyjmując je jako rzecz oczy-

wistą, nie kwapili się z wyrażaniem wdzięczności i podziękowań. Było to „spontaniczne” manifestacje połączone z uchwalaniem adresów wiernopoddańskich organizacjom, w większości ci wypadków przy znacznym wysiłku administracji a nie rzadko przy użyciu policji i wojska.

Rozdział III poświęcony jest stosunkowi chłopów do administracji carskiej, a rozdział IV stosunkowi chłopów do sądów gminnych. W obydwu tych rozdziałach Brodowska na bogatym materiale pokazuje, jak szybko chłopci rozsyfrowali rzeczywiste intencje caratu w tej dziedzinie. W następnych rozdziałach (V—IX) problem kształtującej się świadomości społecznej i politycznej chłopów występuje jeszcze wyraźniej. Do najciekawszych należą rozdziały V i VI poświęcone szkolnictwu rządowemu i tajnemu. Materiał w nich zawarty, bez przesady można uznać za rewelacyjny. Do autorki można mieć w tym wypadku uzasadniony żal, że swoim wahaniem się w określeniu naczelnych motywów bojkotu (bo tak to trzeba chyba nazwać) szkoły rosyjskiej przez chłopów i wysuwaniem na plan pierwszy motywów niechęci w ponoszeniu opłat na rzecz szkoły i braku chęci do nauki, budził u czytelnika sceptycyzm do ideologicznych i patriotycznych motywów takiego postępowania chłopów. Równocześnie przytacza Brodowska dostatecz-

nie dużo przykładów mówiących, że motywem przewodnim była niechęć do szkoły, ale do szkoły rosyjskiej i rusyfikacji, a dopiero na dalszym planie znalazły się motywy materialne.

W świetle tych bogato przez autorkę prezentowanych faktów, niezrozumiała jest jej nadmierna w tym wypadku ostrożność i obawa przed sformulowaniem życzliwych i sprawiedliwych dla chłopów wniosków. Bo czy owa wiani bojkot szkoły rządowej rozszerzający się i pogłębiający w miarę tej rusyfikacji nie był pierwszym stosowanym w tak szerokiej skali w historii Polski bojkotem politycznym? Jeśli nawet nie miał on żadnych form organizacyjnych ani też inicjatora i kierownika, nie odbiera mu to jednak charakteru politycznego i nie pozbawia antyzaborczego sensu.

Recenzowana książka zawiera wiele wniosków nowych lub ko- rrektujących ustalenia znane. Należą do nich: zasadnicza teza o żywym rozwoju świadomości politycznej chłopów w II połowie XIX wieku, obalenie poglądu o monopolu dworów na tę nie nauce i stwierdzenie, że początek rusyfikacji szkolnictwa miał miejsce wcześniej niż to dostrzegano dotychczas.

* Helena Brodowska, Ruch chłopski po uwłaszczeniu w Królestwie Polskim 1864—1904, PWN Warszawa 1967, s. 351.

NAGRODA IM. APOLLINAIRE'A

■ Nagroda im. Apollinaire'a została w tym roku przyznana specjalnie urzędowo dla uczczenia 50-tej rocznicy śmierci poety. Po raz pierwszy nagrodę otrzymał autor z prowincji. Jest to Luc Etang z Amiens, który w roku 1962 był laureatem nagrody literackiej Akademii Francuskiej.

Nagrodę im. Apollinaire'a Luc Etang otrzymał za całokształt swej dotychczasowej twórczości.

KŁOPOTY Z „IRENE”

■ „Irene” jest powieścią jaka została nielegalnie wydana w czasach surrealizmu, w roku 1928, ilustrowaną przez André Massona i Hansa Bellmera. Wydana została konspiracyjnie, gdyż władze uznały ją za zbyt demoralizującą z racji drastycz-

skandalicznych. Kto jest jej autorem? Niektórzy przypuszczają, że napisał ją Aragon. Aragon zaś odpowiada, że tę książkę czytał już dawno, a Régine Deforges słusznie zrobiła, że powieść wydała.

ZMARŁA WALENTYNA HUGO

■ W wieku lat siedemdziesięciu zmarła Walentyna Hugo, znana malarka i ilustratorka książek. Była żoną prawnika Wiktora Hugo. Związana ze środowiskiem artystycznym swych czasów, wykonała m. in. w latach międzywojennych serię portretów słynnych ludzi, a jej przyjaciół, od Picassa do Eluarda, od Cocteau do Georgesau Au- ric. Zdołała też w swoim czasie uznać jako dekorator teatralny.

ZMARŁA CLAUDE SERNET

■ W wieku lat 66 zmarł w Paryżu poeta Claude Sernet. Urodzony w Rumuni wczesnej młodości przybył do Paryża. Brał żywy udział w życiu literackim, zwłaszcza w ruchu surrealistycznym. W roku 1937 wydał swoją pierwszą poetycką książkę zatytułowaną „Commemorations”, która została z uznaniem przyjęta przez krytykę. Dopiero jednak w ostatnich latach zaczął zyskiwać szersze uznanie. Je-



Régine Deforges

nych scen erotycznych. W roku 1953 powieść została wznowiona i znów potajemnie. W roku 1963 napisał do niej przedmowa André Pieyre de Mandiargues. Doświadczenie po 40 latach od jej napisania, książka uzyskała pozwolenie na wydanie, ale jej egzemplarze zostały wycofane przez policję. Wydawnictwo obecnego wydania jest 31-letnia Régine Deforges. Jean Paulhan stwierdził, że władze niepotrzebnie zakazują rozprowadzania powieści, gdyż najwidoczniej nie widzą różnicy między dziełem literackim, a zwykłą pornografią. Odzwyczajają się głosy poważnych krytyków i pisarzy, że „Irene” nie tylko nie jest demoralizująca, ale wprost przeciwnie, w gruncie rzeczy jest to bardzo moralna i piękna książka, która stanowi protest przeciwko traktowaniu spraw seksualnych jako



Claude Sernet

go poezję cechuje duża wrażliwość, zwarłość i czystość języka.

ROMEO I JULIA HISTORIA PRAWDZIWA?

■ „Sceny stworzone przez Szekspira są tak żywe, że opisywane zdarzenia w jego tragedii traktujemy jako rzeczy wiste. I mamy ku te-



skami, odnajdziemy z kolei w szekspirowskiej tragedii.

O moźnych a skłocznych rodach Montecchi i Capuletti wspominał też Dante w swej „Boskiej komedii”.

Popularność historii o miłości Romea i Julii była we Włoszech tak wielka, że w latach 1594—1596 Girolamo della Cor- ta opisał ją jako wiarygodną w swej „Historii Werony”. Prawdopodobnie z tej racji odszukano wtedy grobowiec Julii. Mimo to, ani odnalezienie grobu, ani wzmianki historyczne nie zdołałyby sprawić tego, że tragedia Kochanków z Werony utrwaliła się na zawsze w ludzkiej pamięci. To jest już zasługa Szekspira, który dzięki swemu geniuszowi uniemożliwił historię dwojga zakochanych i ich tragiczny los.

Bez strachu

PIĘKNY DZIEŃ

Jest dzień tak piękny, tak niezastępienie piękny, szkoda, że przemija. Piękno tego dnia uwarunkowane stopniem natężenia światła, wilgoci, konfiguracją chmur i błękitnych płatów nieba, jest zupełnie niezależne od nas — to piękno zastane i przemijające, niezapracowane. Żyję w tym pięknym dniu radośnie — przypiszę przecież, że wole inne dni — takie dni, których piękno zorganizowane, wyreżerowane, dokonane. Lubię piękne dni, których piękno jest dziełem człowieka. Wcale niełatwo powiedzieć jak zrobić piękny dzień — w każdym razie można chyba spisać sprawy, których należy unikać, by nie pomarażyć piękna. Oto kilka wskazówek: Nie należy prowadzić nieszczerych, tandetnych rozmów. Oczywiście trudno ludziom mówić o wszystkim co doznawane — byłoby to rozmowa ekshibicjonistyczna, przegadana — nudna wręcz. Należy więc znaleźć miarę długości i głębokości wypowiedzi — wcale nie jest to sprawa trudna — wystarczy, by rozmawiający był w małym chociaż stopniu samokrytyczny, by myślał o rozmówcy, a nie tylko o sobie — by był życzliwy. Należy w życzliwości od wielu możliwości obfite i wszechstronnie zjawiać ruch — pod gołym niebem lub w pomieszczeniach starannie wietrzonych. Należy unikać strachu i angażować się w trudne nawet sytuacje, ale zawsze w dobrej, a więc pięknej intencji, zawsze żeby komuś pomóc. Oczywiście nie chodzi o pomoc popisową, krzykliwą — pomoc dla zapłaty i pokłasku. Więcej satysfakcji daje pomoc dyskretna. Świat jest pełen ludzi potrzebujących pomocy i udzielić ją może nawet najbardziej zapracowany człowiek. Zdumiony jest stanem świata ludzi, dia krótkich można i należy coś zrobić — tymczasem ludzie tacy, potrzebujący pomocy powinni być kłopotliwi przez pragnienie jej udzielić. Przecież pomagając wierzącym się w własnej sile i znaczeniu społecznym — dawać, udzielać jest przyjemniej niż brać. Należy każdego dnia przez kilka chwil chociaż czytać i rozmyślać zwłaszcza w schyłku dnia, o tym co się przeżyło, co przeczytało. Nie należy nadużywać kontaktu z telewizorem, spędzanie kilku godzin dziennie przed telewizorem to sprawa zupełnie katastrofalna pustosząca psychicznie. Niemniej wysoka wskazana jest umiarkowane korzystanie z telewizora, oczywiście z programem w ręku. Codziennie trzeba przeczytać chociaż jeden wiersz już znany, spróbujmy go czytać tak jakbyśmy czytali po raz pierwszy, zwracając uwagę na dźwięk wiersza, na zawarte w nim myśli, odłóżmy na chwilę tekst i starajmy się wyobrazić sobie to, co zapewne wyobrażał sobie poeta pisząc wiersz. Wsiuchajmy się przez chwilę w muzykę — niekiedy kilka akordów usłyszanych przypadkowo na ulicy z cudzego, mijanego domu, dostarczą nam więcej przeżyć niż cały „odsiedzienny” na sali koncert. Myślimy o swoich przyszłych dniach, ich piękno trzeba w miarę możliwości programować. Myślenie o piękności dnia zwiększa piękno mijającego dnia i nadchodzących dni. Kto zdoła wyrobić sobie czynny stosunek do własnych dni — dostrzeże po pewnym czasie, że los mu zysła takie sprawy, których chciał i oczekiwał. Po prostu był uzasadnio bierny w stosunku do własnych dni, nawet jeżeli ciężko pracował — robił to w sposób nieco automatyczny. Kiedy nie usiłujemy kierować codziennymi sprawami naszego życia, robia to za nas okoliczności, rodzą się wokół ślepe automatyzmy postaw i działań, a raczej braku postaw i działań.

BERNARD SZTAJNERT

